Cena 5 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II | Kraków, dnia 22 kwietnia 1945 r. | Nr. 21

JERZY ANDRZEJEWSKI

O realizmie i fantastyce

Jak wiadomo, Gulliwer podczas pobytu w krainie Liliputów uprowadza przy pomocy zwyczajnej linki pięćdziesiąt wojennych okrętów nieprzyjaciela oraz mnóstwo pomniejszych statków przewozowych. Natomiast w krainie Brobdignag, zamieszkiwanej przez olbrzymów, łamie sobie goleń, potknąwszy się o skorupkę ślimaka.

Ale u Swifta względność ludzkich rzeczy i miar nie ma nic wspólnego z relatywizmem nowoczesnym, którego sądy wspierają się na upartym przeświadczeniu, iż rzeczywistość wymyka się poznaniu, a tym samym jednoznacznej, obiektywnej ocenie. Fantastyczne podróże Gulliwera są w istocie utworem człowieka, który uznaje rzeczywistość w jej kształcie obiektywnym. Kraina Hyhmów, gdzie rozumne i cnotliwe konie panują nad zgrają zwyrodniałych ludzkich gnomów, wyraża więcej ufności wobec świata, niż rozmyślania Aldousa Huxleya podróżującego na kartach „Drwiącego Piłata" po świecie rzeczywistym.

Wśród powikłań ocen relatywistycznych nie ma miejsca na satyrę. Ironia, drwina i humor mogą wyrastać z przeciwieństw pomiędzy rzeczywistością i poznaniem. Ale satyra, ugruntowując swoje istnienie na naśladowaniu rzeczywistości, nie ma żadnego sensu tam, gdzie osąd jest bardziej przypuszczeniem i prawdopodobieństwem, niż pewnością. Wolterowski Mikromegas, który swój niebywały wzrost zawdzięcza olbrzymom stworzonym przez Swifta, może się tak jak Gulliwer z Liliputami porozumieć z ludźmi ziemskimi, którzy wyłowieni przez niego wraz ze swoim okrętem z morza, biegają po niezmierzonych przestrzeniach jego fantastycznie wielkiej dłoni. Wprawdzie wiele zastrzeżeń i wątpliwości nasuwa Mikromegasowi ta rozmowa z istotkami zamieszkującymi ziemską kulę, lecz nawet wówczas, gdyby spisał swoje wrażenia w projektowanej książce, nie umieściłby w niej zdania, którym w wiele lat później Conrad potwierdzi swoje ludzkie doświadczenie: żyjemy i umieramy — samotni.

Tak też mniej dotkliwymi wydają się różnice pomiędzy Gulliwerem a końmi-Hyhmami, niż te wzajemne rozmijania się, które są udziałem Swanna i Odetty, lub Albertyny i jej kochanka. Robinson na wyspie bezludnej jest samotny dopóki nie znajdzie Piętaszka. Natomiast samotność Heysta wśród ludzi wydaje się wieczystym i niepokonalnym losem.

Pojęcie realizmu zawiera w sobie zazwyczaj ocenę stosunku pomiędzy fikcją artystyczną i jej wzorem: rzeczywistością. Nim pewnego ranka wrześniowego młody Fryderyk Moreau wsiadł w Paryżu na statek, aby wrócić do rodzinnego miasteczka, Flaubert odbył brzegami Sekwany tę samą podróż. A gdy po raz pierwszy na pokładzie tegoż statku widzimy panią Arnoux siedzącą samotnie pośrodku ławki, w kapeluszu słomkowym z różowymi, na wietrze trzepoczącymi wstążkami, w sukni z jasnego muślinu, na tle niebieskiego nieba — obraz tej kobiety utrwala się w naszej pamięci tak plastyczny i żywy, jak gdybyśmy razem z Fryderykiem zostali olśnieni tym niespodziewanym spotkaniem.

Tym niemniej nie wydaje się słuszne zacieśniać pojęcia realizmu do kształtów tak czysto zewnętrznych. Ponieważ wszelki styl artystyczny wyraża pewien stosunek twórcy do rzeczywistości, określenie owej postawy nazywającej i wartościującej słusznie uchodzić powinno za istotniejsze od wnioskowania wyłącznie na podstawie, o ile dany utwór przypomina rzeczywistość lub ją deformuje. Lord Jim, przechodzący bulwarem któregoś z portów Dalekiego Wschodu, jest równie prawdziwy i przekonywujący, jak pani Arnoux. A jednak „Wychowanie sentymentalne" uchodzi za utwór realistyczny, gdy powieści Conrada nie próbuje się podciągnąć pod ten sam gatunek artystyczny. Gdyby układ zdarzeń tworzący fabułę utworu pozwalał wyznaczać granice sztuki realistycznej, wówczas większość dzieł powieściowych, jako opisujących fakty, które mogłyby się przydarzyć, należałoby zaliczyć do realistycznych i nie byłoby żadnych racji, aby nie wymienić jednym tchem „Dawida Copperfielda" i „Fałszerzy". Tymczasem okazuje się przy bliższym wnikaniu w dzieła literackie, że ani ich fabuła, ani sposób opisywania ludzi i zjawisk nie dają dostatecznych podstaw do zbyt pośpiesznego wyrokowania, co jest sztuką realistyczną, a co nią nie jest.

Przygody Gulliwera w krajach nieistniejących na mapie i wśród istot całkiem niepodobnych do ludzi przechadzających się ulicami Londynu posiadają wszelkie pozory opowieści fantastycznej. Lecz Swift nie na darmo tak pilnie i skrupulatnie notuje piórem swego bohatera wzrost Liliputów i Olbrzymów, oraz miary wszelkich przedmiotów materialnych. Jest w tym zakresie informatorem równie uważnym i niezawodnym, jak Balzac, który wprowadzając do powieści nową postać rzadko kiedy zapomni opowiedzieć, ile ów człowiek płaci rocznie za mieszkanie, jak dużą czy małą posiada rentę. Dla doktora Gulliwera poznanie jest równoznaczne z opisem. Stawrogin z „Biesów" i Kyo Gisors z „Doli człowieczej" Malraux poruszają się w rzeczywistości nieporównanie mglistszej, niż stolica Liliputów, gdy jej ulicami, w stronę zamku królewskiego, kroczy Gulliwer. W porównaniu z klarownością problemów interesujących Gulliwera i władcę krainy Brobdignag, rozmyślania Tomasza Budenbroocka w okresie poprzedzającym jego naglą śmierć wydają się gąszczem ciemności.

Wśród wielu pięknych współczesnych książeczek dla dzieci jest jedna o uroku i wdzięku, które szczególnie żywo odczuwają liczni dorośli. Napisał tę powiastkę Anglik, Milue, a jej tytuł w przekładzie polskim brzmi „Chatka Puchatka". Bohaterami historyjki są przemiłe zwierzątka: Miś-Puchatek układający poetyckie „mruczanki" i lubiący często zjadać „małe Conieco", Prosiaczek o uszkach, które mu się często trzęsą i czerwienią, sceptyczny Osioł, przemądrzała Sowa, Kangurzyca ze swoim Maleństwem i niesforny Tygrys, który pewnego razu złośliwie „wbryknął" Osła do rzeki. Znam ludzi dorosłych i skądinąd pełnych powagi, którzy bądź w rozmowy, jakie prowadzą, bądź w listy wymieniane między sobą, lubią wplatać różne powiedzonka Puchatka lub Prosiaczka.

Można wątpić, czy współcześni Diderota, wśród których krążyły w odpisach filozoficzne opowiastki mistrzów Encyklopedii, potrafiliby cieszyć się ową sceną z „Chatki Puchatka", kiedy zgromadzone na moście zwierzątka zabawiają się rzucaniem patyczków do rzeki. Zdaje się, że nasz obecny stosunek do tzw. historii nieprawdopodobnych jest bardzo odmienny od reagowania na fantastykę w wiekach minionych. Kruk, lis i lew z bajek Ezopa i La Fontaine'a bardzo rzadko doczekują się obecnie utrwalenia swojej dydaktyki w rymach. Poeci, którzy w 17-ym i w 18-ym wieku z upodobaniem uprawiali ten rodzaj poetycki, byli bardzo istotnie związani z rzeczywistością, jeśli prawa, które nią w ich mniemaniu rządzą, odważali się przenosić na ptaki i zwierzęta czworonożne.

Nowoczesne bajki w rodzaju „Chatki Puchatka" i innych książeczek o podobnym gatunku humoru nie zakładają sobie celów poznawczych. Gdyby La Fontaine zechciał dzisiaj pisać swoje bajki, jego lis zazdroszczący krukowi kawałka sera musiałby posiadać zdolność analizującego myślenia niemniej wnikliwą, niż młody Raskolnikow opuszczający swoje mieszkanie z zamiarem zamordowania i ograbienia starej lichwiarki. Wilk i Baranek prowadzący dialog nad strumykiem w bajce Trembeckiego poruszają się w rzeczywistości równie dostępnej poznaniu i ocenie, jak rzeczywistość, która jest tłem wesołych miłostek kawalerów Boccacia, przygód Don Kichota i podróży Kandyda.

Współcześni autorowie bajek i powiastek nie posiadają ambicji swoich poprzedników, aby świat fikcji przez nich stwarzany dorównywał bieżącej wiedzy o świecie rzeczywistym. La Fontaine i Trembecki, opowiadając wyimaginowane losy zwierząt, ptaków i owadów, obracają się w takiej samej rzeczywistości, co Molière wprowadzający na scenę Tartuffa lub Staszic piszący poemat o „Rodzie ludzkim". Wobec nich autor „Chatki Puchatka", tak lubianej przez czytelników Conrada i Prousta, wydaje się bardzo zapóźnionym w stosunku do swoich współczesnych uprawiających prawdziwą lekturę dla dorosłych.

Aldous Huxley tak opisuje w „Kontrapunkcie" zwyczajne uderzenie zegara: „zegar na kominku wypowiedział nagle niepokojącą uwagę złożoną z ośmiu nut; melodyjne dźwięki rozwiały się smętnie w nicości, jak muzyka odpływającego statku". Różnica pomiędzy tym wysiłkiem utrwalenia w r a ż e n i a, jakie wywołuje pewien określony fakt, a wrodzoną skłonnością Gulliwera do o p i s y w a n i a rzeczywistości tak, jak ona wygląda — jest niejako w kształt artystyczny ujętym symbolem dwóch światów: podróżujący z początkiem wieku 18-go angielski lekarz stąpa po ziemi i wśród rzeczy i ludzi, które dają się poznać, a zegar Huxleya wybija swoje „niepokojące uwagi" w mrokach tajemnicy i wątpliwości.

Kto wie, czy ci spośród artystów i intelektualistów, którzy czerpią wiele radości z prostego faktu, że Puchatek i Prosiaczek chcąc zbudować chatkę dla Osła rozbierają przez roztargnienie jego własny dom, aby później z nieświadomym tryumfem zbudować go w innym miejscu na nowo, nie cieszą się dlatego, iż wśród świata, w którym żyją, nigdzie nie znajdując trwałego dna, ani wiecznego nieba, w zmienności rzeczy i własnej samotności, natrafiają oto na zdumiewające zdarzenie, które jest takim jakim jest i chociaż fantastyczne — wydaje się bardziej rzeczywiste, prawdziwe i pocieszające, niż mroki serca własnego i innych ludzi.

Przy określaniu wartości rzeczy i zjawisk chętnie się w okresie międzywojennym posługiwano superlatywami. W ogóle przymiotniki zyskały w tym czasie pozycję wyjątkowego uprzywilejowania i mało zapewne można by znaleźć pokoleń, które w takim stopniu, jak pokolenia współczesne, przyczyniłyby się do bankructwa pojęć oceny. Superlatywy stosowane były nie tylko wówczas, gdy usiłowano oddać wysokość drapacza chmur, zręczność cyrkowca lub sumę pieniędzy włożoną w nakręcenie tzw. gigantycznego filmu. Używano ich także dla określenia zjawisk duchowych. Europa nie pozostawała w tyle w tej dziedzinie za Ameryką, ponieważ kontynent europejski miał dosyć własnych racji, aby samodzielnie, na własną rękę, pogrążać się w atmosferę silnych wrażeń. Nie na darmo jednym z najbardziej potocznych wyrazów bieżącej polszczyzny stało się słowo: wyczyn, nieznane zupełnie w słowniku Lindego.

Tak też na porządku dziennym: w prasie bieżącej, w tekstach ulotek reklamowych i w periodykach poświęcanych sprawom kultury znaleźć było można te same dosłownie przymiotniki, których używano przy określaniu zgrabności nosa królowej piękności na Florydzie, czy ogromu zapory wodnej w Dnieprostroju. Gdyby jakaś ekspedycja uczonych podobna do tej, która w roku 1922 miała szczęście odkopać w Egipcie grób młodziutkiego Tut-anech-Amona, wydobyła kiedyś w dalekiej przyszłości spod ruin niektóre teksty z trzydziestych lat XX-go wieku, lata nasze ukazałyby się ich zdumionym oczom, jako okres niebywałej i użyjmy tu właściwego słowa: „rewelacyjnej" wiedzy o człowieku. Z anonsów układanych dla wydawców, z notatek dziennikarskich i tzw. omówień krytycznych przemówiłoby tyle dumy i pewności siebie, iż kto wie, czy wśród owych przyszłych pokoleń nie zyskalibyśmy, jeśli chodzi o poznanie człowieka, sławy równie niezasłużonej, jak ta, którą się cieszy kilkunastoletni faraon z XVIII-ej dynastii, sławniejszy od wielu największych władców tylko dlatego, że jego grób przetrwał nietknięty przez długie wieki.

Spośród wielu frazesów, jakie wypowiedziano o dziele Marcelego Prousta, jeden szczególnie bywa częsty, a wyraża ocenę wielkości mnogich tomów „W poszukiwaniu czasu utraconego" stwierdzeniem ich jedyności i niepowtarzalności. Mówi się zatem, że głębię poznania przeżyć człowieka, wnikliwość i prawdę analizy psychologicznej osiągnął Proust w stopniu tak doskonałym, iż chcąc powiedzieć i odkryć coś nowego nie podobna po tej drodze iść dalej. Zola, który w kilku książkach wykłada teorię sztuki powieściowej, jako naukowego narzędzia poznania rzeczywistości, nie cieszyłby się — i słusznie — z podobnej oceny kładącej kres rozwojowi możliwości poznawczych.

Proust bardzo wiele nowych i interesujących rzeczy powiedział o człowieku, lecz podstarzały Charlus idący ciemnymi ulicami bombardowanego Paryża jest tą samą istotą, której tajemniczość przed wielu wiekami określił tebański Sfinks, gdy zadawał zagadkę młodziutkiemu Edypowi: „Cóż to jest za istota, która z rana na czterech nogach chodzi, w południe na dwóch, a na trzech pod wieczór?".

Skazana na śmierć Antygona i don Kichot pokonany w walce z wiatrakami mieliby wiele słusznych przyczyn do skarżenia się na samotność ludzkiego istnienia. Ale ani nieszczęśliwa córka Edypa, ani rycerz z la Manchy nie wypowiadają znanych słów Conrada i nie myślą, jak Huxley, że „życie jest odbywaniem kary wieczystego odosobnienia".

Człowiek stał się samotny wówczas dopiero, gdy przestało go nasycać przeżywanie życia i swojego losu, a począł przeżywać wrażenia, w których, jak kształt w zwierciedle, przełamują się życie i los. Don Kichot i lord Jim — obaj noszą w sobie wysoki ideał honoru i godności. Ale gdy rycerz hiszpański z podniesioną lancą wjeżdża na swojej szkapie, zwanej Rosynantem, pomiędzy stado stłoczonych baranów, to chociaż popełnia omyłkę, biorąc zwierzęta za ludzi, świat zewnętrzny ukazuje mu się w normach tak samo ustalonych i ważnych, jak dla pana Micawbera i pani Micawber ich niezwykłe interesa i coraz to nowe, urojone szanse Fortuny. Natomiast młody syn angielskiego pastora, chociaż nigdy się nie myli w określaniu zjawisk i zdarzeń, porusza się istotnie w świecie, który jest rzeczywistym nie więcej, niż cień ludzki w stosunku do człocieka żywego lub echo wobec zawołania.

Wydaje się, że samotność nie leży w prawach ludzkich losów, jak śmierć lub miłość. Nie jest ani konieczna, ani powszechna. Nie dopada człowieka, lecz człowiek sam ją stwarza, gdy słysząc uderzenie zegara nie ogranicza się do przyjęcia do wiadomości pewnych dźwięków oznaczających miarę czasu, lecz wnika w osobiste wrażenia pod wpływem owych dźwięków doznane. Samotność nie spoczywa w naturze. Natomiast zjawia się przy takim o świecie myśleniu, które naturę deprecjonuje i poniża, a jednostkę zmusza do samotnego błądzenia wśród zjawisk i rzeczy niepoznawalnych.

Ci z dawnych pisarzy, którzy zajmowali się opowiadaniem historii, wykazali bardzo wiele równowagi i zdrowego rozsądku przywiązując tak wielką wagę do fabuły i narracji. Rzeczywistości nic nie grozi dopóki można o niej opowiadać. Uważnemu czytelnikowi nie nastręczą się poważniejsze przeszkody, gdy własnymi słowami zechce odtworzyć perypetie Robinsona lub Dawida Copperfielda. Natomiast będzie musiał zrezygnować z próby opowiedzenia, co myślał i robił w ciągu jednego dnia dubliński kupiec Bloom.

Rzeczywistość zawsze się daje opowiedzieć. Jest bowiem komunikatywna i chociaż armia krainy Liliputów przemaszerowuje pod rozkraczonym Gulliwerem, pozostaje jednak armią skwalifikowaną według pojęć tych samych, którymi określamy defiladę armii francuskiej współcześnie maszerującej pod paryskim Łukiem Tryumfalnym. Można kazać jabłoniom rodzić fioletowe kolibry, pstrągi w bystrym potoku nakłonić do prowadzenia dysput filozoficznych, można nawet całą kulę ziemską wraz z jej inwentarzem zmusić do wyskoczenia z orbity słońca, a mimo to zachować ten sam honorowy i odpowiedzialny stosunek do rzeczywistości, który pozwala nam opisać krzak porzeczkowy, burzę letnią i śmiech dziecka. Natura jest podobna do płynnego wosku, gdy w wieczór listopadowy, w tzw. „andrzejki", nadajemy mu przeróżne, wróżebne kształty. Wolno artyście dowolnie przemieniać jej elementy, byle nie zaparł się dobrowolnie jej wzniosłej i trwałej prawdy. Podróż Fryderyka Moreau po Sekwanie nie dlatego jest realistyczna, iż przed opisaniem jej Flaubert wolał obejrzeć te same pejzaże. Balbec Prousta jest także odtworzeniem prawdziwej miejscowości bretońskiej, a jednak na tych stronach „W cieniu zakwitających dziewcząt", gdzie zostało pokazane poprzez przeżycia bohatera, ma wymowę krainy fantastycznej. Miłość Hansa Castorpa do pani Chauchat jest komunikatywna, ponieważ jest opowiedziana. Ale podjęcie wysiłku przedstawienia istotnych przeżyć ucznia włoskiego humanisty, próba odnotowania biegu jego myśli, skojarzeń i odczuć musiałaby zaprowadzić w świat niepoznawalny, samotny, zagubiony wśród innych światów ludzkich równie obcych i niepojętych.

Jedyną fantastyką istotną, bo nieprzeniknioną i niepoznawalną, są przeżycia człowieka. Nikt nie jest w stanie odtworzyć siebie samego, ani opisać ludzi innych. Możemy powiedzieć po prostu: był zmęczony i chciał spać, ale najwnikliwszą analizą nie oddamy owego stanu znużenia i senności od wewnątrz tak, jak te chwile w pewnych określonych warunkach przeżywa pewna określona jednostka. Wszelkie próby poczynane w tym kierunku nie osiągają nic więcej ponad złudzenie poznania. Natomiast nie wydaje się złudzeniem, iż w tej podróży w samotność niszczą po drodze barbarzyńsko świat, w którym człowiek może się porozumieć z drugim człowiekiem, lub przynajmniej postępuje w taki sposób, jakby porozumienie osiągnąć mógł i miał prawo.

1943 rok

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA *)

— Czy pani pamięta, pani Adziu, — zwrócił się do Agaty Dzianwa, jakby brała udział w ich rozmowie, — był taki jeden obiad w pani domu. Jaspis zaprosił świeżego wówczas dygnitarza, pięknego i wygadanego Rocha Uświeckiego, którego wtedy jeszcze nazywał „bratem kochanym". Zjedliśmy ten obiad i gadaliśmy, zjedliśmy kolację i jeszcześmy gadali. To było tego lata, kiedy reszta pobitego wroga wyciekła — zgodnie z umową — z pomiędzy nas i wschodniego sąsiada i drogą okrężną, od północy, wracała do swej rozgromionej ojczyzny. I wtedy od razu, ledwie otrząsnąwszy się z „kajdan niewoli", stanęliśmy oko w oko z nowym wrogiem. Wiedzieliśmy, co będzie, no, ale wtedy jeszcze mogło nic nie być, wtedy dopiero się zaczynało. U nas była jeszcze u steru lewica, a u nich już zapanowała po ciężkich wstrząsach rewolucji. I przyszła mi wtedy do głowy taka rzecz: że ten konflikt mógłby się po prostu załatwić konferencją międzypartyjną. Powiedziałem Uświackiemu, żeby to wziął na serio. Jeszcze wtedy wiele mógł zrobić, miał znaczenie u swoich, zanim ich później tak łatwo odstąpił... Powiedziałem, żeby sobie z tej i z tamtej strony wydelegowali po „towarzyszu" — bo przecież tam byli towarzysze i tu jeszcze byli towarzysze. I żeby o tym we dwóch, albo w jakiej asyście porozmawiali. Pociągnęliby sobie sznureczkę granic w tę i w tamtą stronę, pospieraliby się, potargowali — i może doszliby do jakiej zgody. A przypomnijmy sobie, że ani my, ani oni, nie mieliśmy jeszcze wtedy ani wielkich armii, ani zorganizowanego państwa, ani sprzętu, nie było się do czego tak rwać... I można było i ten czas lepiej spożytkować i tych ludzi, którzy wtedy zginęli...

— Ale to byli zupełnie różni towarzysze, — rzekł Baraz.

— Naturalnie, różnica była dość istotna i dawała materiał do dyskusji. Ale takie konferencje się zdarzały między różnymi odłamami lewicy. I ostatecznie, tak czy owak, skończyło się na konferencji. Ale już wtedy...

— Ja pamiętam, co powiedział wtedy Uświacki, — odezwała się Agata. — To mnie wtedy uderzyło: „My nie walczymy z nimi, jako z partią, tylko jako z narodem".

— Właśnie coś takiego powiedział, — zgodził się Dzianwa. — I Jaspis też naturalnie był odrazu tego zdania. A ja i dziś jeszcze myślę, że tego w tym właśnie wypadku należało próbować. Może byliby na to poszli.

Urwał i przez chwilę się namyślał.

— I nawet nie przewidywałem wtedy, że ważył się los nie tylko tak zwanego „przedmurza chrześcijaństwa", ale że... Ale że...

Zamilkł na dobre, jakby zapomniał, co miał powiedzieć. Jakby w swej starczej pamięci na próżno szukał czegoś najważniejszego, co mu „wypadło z głowy".

Obsunął się w sobie, zmalał cały na tej ławce, patrząc przed siebie w dziwnym roztargnieniu. „Szczególna rzecz, pomyślała Agata, dawniej nigdy by o tym przed ludźmi nie wspominał".

Był tu zabłąkany z najdalszej przeszłości, malejący z oddalenia. Przestawał być prawdziwy, jak wszystko tutaj, na tym wieczorze, w tym zbiegowisku urojeń i widm.

Na chwilę przymknęła oczy. Ale poza opuszczonymi powiekami wciąż roili się z entomologicznym chrzęstem i chrobotaniem strojni, świetni ludzie w przestrzeni rozległych sal — jakby nie żyli w świecie chwilowym, który w tym układzie sił, atomów i równowagi będzie inny już za rok, i za godzinę, i za mrugnięcie powieki. Który nie powtórzy się już nigdy więcej. Jakby nie wiedzieli, że ich zamiary i nadzieje umieszczone są w świecie nieprzewidzianym, że działają w obrębie czystego niewiadomego. Przybierali na siebie różne imiona i twarze. Osaczeni przez konieczność, byli wyrazicielami różnych jej widzeń, różnych wobec niej sposobów. Nosili ze sobą swoje zmory prześladowcze, ukryte zgryzoty i kalectwa, zwierzęce lęki i popłochy, wyczuwane jako myśl o chorobie i myśl o śmierci.

Wszystko było nieprawdziwe — cały ten wieczór, tak dowolną nadzielony rzeczywistością. Urojeniem była jego świetność, wyrzucona ponad wierzch życia, jak piana fali. Prawdą był zmierzch tego świata, już wciągniętego w powolne wirowanie głębiny, po wielkich, łagodnych okręgach spirali niepostrzeżenie spływającego na dno leja.

Wydało jej się, że traci przytomność. Drgnęła i podniosła powieki. Zrobiło się późno i środek sali zwolna pustoszał. Przestrzeni było zbyt wiele na tych, co pozostali. W wolnych miejscach rozpościerała się nuda i strach. Obok siebie nie zobaczyła już Dzianwy ani Baraza, jakby ich nigdy nie było. Światło mełło pustkę, jasne było samo niczym nie wypełnione powietrze. Jawa rozłożyła się na elementy, na trzeszczące, przypadkowe wiązania, na suche spaczone warstwy, rozkręciła się na system fikcji, zasłon i mgieł.

Agata powoli zrozumiała, jakim wysiłkiem nieustannym człowieka jest świadomość. Jaką pracą olbrzymią — wiązanie w splot tych danych nieuchwytnych, rozbieżnych, czerpanych z byle kąd. Żałośnie zapobiegliwa, śmieszna w swej gorliwości czynność cerebralna ma sobie wyznaczony ten mozół. Skwapliwie i bez przerwy komentuje i łączy sygnalizowane jej luźne, ślepe, nieważne zdarzenia chemiczne, kleci z zamętu, szumu, falowań i wibracji tę upragnioną pozorną jednię, do błahego fenomenu życia doczepia konwenans rzeczywistości.

Ileż wysiłku, starania i trudu, ileż smutnej zgody na niedorzeczność, na międzyplanetarną kosmiczną fanaberię, by to jakoś wylegitymować, by poczuć w tym siebie — jako partacki instrument życia, by się w tym straszliwym zagubieniu odnaleźć, jako jedyny, organizujący bezsens, aparat samowiedzy.

Ileż zawziętej przemocy wobec oporu świata, by to tutaj, stojące przed jej oczami, dało się osiągnąć. Aby była ta chwila i to miejsce, te figury panopticum, artykułujące słowa, miny i gesty. Ci ludzie, wyrojeni z mulistej ciemności niebytu, tyle nawzajem dla siebie znaczący, w przeplotach i chrobotaniu zdolni zadawać sobie strach i cierpienie, przenikający w siebie nawzajem miłością i mordem.

Życie organizuje sobą, łączy naprędce pospieszne, niedbałe i niewartościowe związki doraźne z wolnych pierwiastków świata materii martwej. Jakby coś ku czemuś przedsiębiorąc, coś chcąc zdziałać i sprawić. Ułatwia sobie tę uzurpację, usprawiedliwia ją niejako, supłając to wszystko w węzełek świadomości — tak coś nazywając i nawet postulując, tak wywalczając dla siebie rozkosz trwania.

Prędko, prędko, zanim powiew drżeń i dygotań rozładuje ten splot, zanim wypożyczone na użytek życia pierwiastki chemiczne uwolnią się z dziwacznego, męczącego przymusu, by zniecierpliwione odpaść w stan luźny, nieobowiązujący stan poprzedni, w warunkowe czekanie na inne możliwości. Zanim pęknie ta przelotna, cudowna, niesłychana koniunktura, sprawiająca, że dane jest nam dobro rzeczywistości — tyle tylko i nie więcej — żyjemy.

— Przyszedłeś po mnie, — powiedziała Agata do Wysokolskiego i wstała.

— Będziemy chyba wracali, — odrzekł, patrząc na nią oczami, zwężonymi od uśmiechu.

— Dobrze.

Jednakże stali jeszcze przez chwilę. Wysokolski rozejrzał się wokoło, jakby mu żal było rozstać się z tym wieczorem. Poprzez rzednący tłum, poprzez resztę mundurów i orderów, fraków i zupełnie nagich, szerokich pleców kobiecych, w długim szeregu ludzi, zajmujących ławki po drugiej stronie sali, zastygłych w nieruchomości, niby wypukłorzeźbiony fryz, — ujrzała Agata jeszcze raz Aramowicza. Siedział pod lustrzaną ścianą, zwalony ciężko między dwie stare kobiety i w milczeniu, jak inni, patrzył ku tej stronie, gdzie obracały się już teraz wszystkich oczy.

W rogu sali przebywał wciąż jeszcze dostojny gość. Ale ceremonia już się kończyła. Gość powstał i w otoczeniu obu ambasadorów, wysokich urzędników i strojnych kobiet, żegnał oboje gospodarstwo. O głowę wyższy od niego pan domu — wysmukły, piękny, poważny, świadomy już błędów swej polityki — zamieniał z nim uścisk ręki. I było w jego spokojnym geście, w jego grzecznych słowach jakby zażegnywanie niebezpieczeństwa, ujarzmianie grozy, była próba ostatnia odwrócenia losu. Zebrani spoglądali na usta mówiących, nie mogąc słyszeć ich słów, — i z wyrazu ich oblicza, z nieznacznych poruszeń, z pochyleń głowy i uśmiechów usiłowali, jak z wnętrzności ofiary, odgadnąć przeznaczenie. Większość była dobrej myśli. Ale nie wszyscy ulegali tej złudzie.

Agata powróciła wzrokiem do Aramowicza. Nie zmieniło się nic. On i obie kobiety siedzieli bez ruchu, nie odrywając oczu od widowiska. Ich twarze, wszystkie trzy zwrócone w jedną stronę, całkowicie puszczone w niepamięć, zagapione i tępe, przypominały koszmarne rysunki Daumiera. Patrzyli ciężko i sennie w tę nową potęgę, wyniesioną z dołów na szczyty mocy i mającą za zadanie wystąpić ze swoich brzegów i zająć dla siebie miejsce na ziemi innych narodów.

Agata zaplotła ręce na oczach.

— Jedźmy już, — powiedziała do męża. — Jestem zmęczona.

Jeszcze się trochę zatrzymywał, jeszcze się trochę idąc rozglądał. Jak gdyby nie wszystko się stało, co sobie był zamierzył.

Prowadzona przez niego pod rękę, Agata schodziła drogą powrotną po długich schodach, jak w dół wąwozu. Na dole wsunęli się w swoje futra, uważnie i sprawnie nastawione przez nieznajomych ludzi. I rozdając ostatnie napiwki, ukłony i pożegnania, zbliżyli się do drzwi wyjściowych.

Ktoś także nieznajomy mówił donośnie przez megafon, a jego wyolbrzymiony głos wieścił daleko na plac za kratę pałacową nazwiska osób, czekających na swoje auta.

— Samochód pana senatora Czechlińskiego! Samochód księżny Czarncewiczowej! Samochód pana generała Ninoty! Samochód pana ministra Niewieskiego!

— Dlaczego on tak krzyczy? — szepnęła Agata do męża. Wydało jej się, że tym głosem powinien tu przyzywać zupełnie co innego.

Ale głos wywoływał dalej: — Samochód pana ambasadora Osienieckiego! Samochód pana ministra...

— Poczekaj, — zatrzymała Agata Wysokolskiego, który już chciał powiedzieć lokajowi swe nazwisko. — Sami sobie odnajdziemy auto na placu.

Przeszli bokiem dziedzińca ku bramie, mijani z bliska przez zajeżdżające przed pałac samochody. Mróz ścisnął, niebo podniosło się wysoko, poczerniało, całe teraz nabite ostrymi gwiazdami. Im bliżej podchodzili do bramy, tym większym głosem rozbrzmiewały obwieszczane nazwiska.

Wysokolski z daleka rozpoznał swą maszynę i podprowadził ku niej Agatę, wymijając nielicznych przechodniów. Jeszcze o tej porze przystawali tu ludzie, by wysłuchiwać zmieszanej hierarchii sławy i zasługi.

Idąc, Agata niepokoiła się o szofera, czy nie przemarzł, czekając tak długo. Przez te wszystkie godziny, gdy oni tam na górze stali i chodzili, milczeli i rozmawiali, gdy w pośpiesznym skrócie przetrząsnęli i podsumowali swoje życie — on tu siedział, schowany jak żółw pod skorupą karoserii. Jego zadaniem jedynym przez te godziny było czekanie.

Podchodząc pierwsza do wozu, Agata zobaczyła go przez szybę, pochylonego nisko nad kierownicą. Nie spał. Trzymał w ręku niewielką książkę i czytał ją przy światełku, umieszczonym nad tarczą szybkości.

Na widok generała odłożył szybko książkę, dotknął palcami czapki i szarpnął dźwignię przekładni.

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział I.

Nazajutrz po raucie dwie obietnice, dane tego wieczoru, nie zostały dotrzymane. Celia Aramowiczówna mianowicie nie zatelefonowała do Edmunda Oxeńskiego, a Jan Baraz — do jego macochy, pani prokuratorowej Oxeńskiej.

Każde z nich miało po temu inne powody. Celię ciągnęło do telefonu, ale się temu wszystkimi siłami opierała. Baraz natomiast, już położywszy ciężką rękę na słuchawce, po zastanowieniu odejmował ją powoli, tak trudno mu było do telefonu się przymusić.

Baraz od dawna związany był z domem Oxeńskich, przez jeden rok mieszkał nawet, jak wiemy, pod ich dachem, jako korepetytor Dziunia. Zawdzięczał to umiejętności jasnego wykładania prawd matematycznych, nawet gdy sam nie bardzo je rozumiał.

Dostał się tam w tryb życia tak świetnie zorganizowanego, że aż bał się jego doskonałości. Mieszkali już wtedy w starej, pałacowo rozplanowanej kamienicy przy zaciszne ulicy śródmiejskiej, noszącej w owe czasy nazwę Foksal, po jej słonecznej stronie. Straszliwy, przestronny i przejrzysty porządek panował w tych komnatach, zastawionych lśniącymi starymi mahoniami, wysłanych grząskimi dywanami, zawieszonych mrocznymi obrazami w złotych ramach. Głośno szumiący Lux wysysał z atmosfery, z książek, z mebli i perskiego puchu kobierców wszelki ślad kurzu — co było sensacją dla Baraza, w którego domu rodzinnym spływające od okien wielkie bele światła słonecznego roiły się od złotego pyłu.

Zarówno on, jak jego uczeń, bali się pani domu — wymagającej, gniewnej, nigdy nie odstępującej od swego zdania. Obaj się w niej jednak wówczas podkochiwali. Była modelem kobiety, jaką w marzeniach mógłby wypieścić masochista, brak jej było tylko pejcza w małej dłoni. Ale i bez tego rządziła rzeczami i ludźmi i niejako wszystko przed nią drżało. Baraz budził się nieraz z przerażeniem, czy nie zostawił jakiego nieporządku w łazience, czy schował brudną koszulę do właściwego koszyka, albo pięknie w skórę oprawną książkę ustawił po przeczytaniu na tej samej półce biblioteki.

Jednak jej dziecinne wybuchy złości nigdy naprawdę go nie gniewały. Pamiętał, że kiedyindziej była dobra. Dbała bardzo o nich obu, starała się, by mieli całą bieliznę i odświeżone ubrania, by się dobrze odżywiali. Tylko nie wolno było spóźnić się na obiad ani zasiąść do niego z nieumytymi rękami.

Przejście przez tę surową szkołę urobiło go w pewien sposób, narzuciło mu ten obyczaj, którego się już odtąd trzymał. Ale, gdy po szczęśliwym zdaniu przez Dziunia matury przestał już być potrzebny, chętnie wrócił do poprzedniego swego życia, cokolwiek je tylko korygując. Bo po dawnemu lubił robić sobie wszystko sam, lubił myśleć, że ma to tylko, co dostępne jest innym.

Tak więc Baraz obiecał Oxeńskiej na raucie, że do niej zatelefonuje. Było to prawie w chwili ostatniej przed pożegnaniem, gdy na jej żądanie odnalazł Edmunda, który stał osłupiały, patrząc za swą rodzoną matką, prowadzoną po schodach przez Rozrażewskiego.

Oxeńska przez cały wieczór była dla Baraza niełaskawa. Była nawet złośliwa. Śmiała się z niego, że jest lękliwy, że jest wbrew pozorom człowiekiem słabym. Tak było zwykle, gdy chciała mu okazać swą życzliwość, to był sposób, w jaki wyciągała rękę do zgody. Pod koniec wydało się, jakby o nim zapomniała, jakby nie chciała go widzieć na oczy.

To, co tak zaskoczyło Baraza, stało się już na progu szatni. Szedł z Oxeńskimi, mając zamiar odwieźć ich do domu. Nagle Oxeńska wsunęła mu rękę pod ramię i z bliska nachylona powiedziała te nieoczekiwane słowa: „No, więc jutro przyjdę do ciebie, chcesz?" Baraz przeląkł się, że idący tuż za nimi z Edmundem Oxeński może usłyszeć. Ramieniem przycisnął do siebie jej rękę i prędko, by ją uspokoić, szepnął: „Rano zatelefonuję". Dopiero nakładając na nią futro, ochłonął ze zdumienia i zdał sobie sprawę z tego, co zaszło. To co uczuł, było po prostu radością. Od dawna tego pragnął, ale nigdy w to ani przez chwilę nie wierzył, nigdy tego naprawdę nie oczekiwał.

Miał z nimi jechać, ale teraz zmienił zamiar. Wytłumaczył Oxeńskim, że wraca na górę, bo ma jeszcze do pomówienia z Dzianwą. I nawet przed starym profesorem nie umiał ukryć radości, którą był przejęty.

Mimo to nie zatelefonował do Oxeńskiej ani nazajutrz rano ani dnia następnego. Korzystał raczej z przeszkód, niż je przezwyciężał. Wprawdzie na trzeci dzień, wychodząc z rana do Sądu, postanowił sobie już na pewno, że z miasta umówi się z nią na południe, ale tu nastąpiły te spotkania, które ostatecznie zachwiały jego postanowieniem i pozwoliły mu nie dotrzymać obietnicy.

Tego dnia zbudził się wcześnie i niechętnym spojrzeniem obiegłszy pokój, przymknął powieki i myślał o niej. Naprawdę nie dawała mu spokoju. Ależ go zdumiała, ależ go zaskoczyła! No, no. Mógł to rozważać długo, nie wiedząc po tym wiele więcej, niż przed tym. Mógł myśleć nawet, że się w nim kocha nieszczęśliwie i dlatego tak nim pomiata, wyśmiewa go i poniża. I to było oczywiście nieprawdą.

Nie był tak zupełnie bez winy w ciągu tych ostatnich tygodni, gdy to się jakby zaczęło, gdy go nagle — po tylu latach — **zauważyła.** Nie był bez winy — ale i ona... Gdy ją wtedy zastał w gabinecie Oxeńskiego samą i płaczącą, nie mógł się oprzeć wzruszeniu, nie mógł jej nie pocieszać. „Taka cudna, taka śliczna... I dlaczego?..." To było głupie, że zaczął całować ją po rękach, że ją trochę do siebie przytulił. Nie broniła mu tego, nie odepchnęła go pogardliwie, jak mógł oczekiwać. Dała mu nawet pocałować się w usta. Widocznie spragniona była nawet takiej pociechy.

Pocałunki powtórzyły się jeszcze parę razy w dość trudnych warunkach tego rodzinnego domu. Baraz był wobec niej nieśmiały, był delikatny. Był wzruszony, zdawało mu się, że jest szczęśliwy. Jednak gdy uczuwał niepokój sumienia, kończyło się szczęście. Myślał wtedy, że to nie jest rzecz ważna. Że i ona nie bierze tego na serio.

Dwukrotnie już w takich chwilach powiedziała do niego „ty". Raz szepnęła: „Puść mię, nie męcz mnie tak..." Ale i wtedy nie wywinęła mu się z rąk, gdy ją obejmował.

Z tym wszystkim jej słowa, tam w szatni, były czymś zupełnie nowym między nimi. Nie spowodował ich żadną wypowiedzianą prośbą, nie wyznał jej nigdy słowami, co czuje. Pragnął tego naturalnie, ale tego nie chciał. Nie chciał, by to się stało.

Dźwigał się w tych myślach z tapczana, ukrywał w jego przepaścistym wnętrzu znikomą pościel, krzątał się chwilę między maszynką gazową w przedpokoju i niewielką spiżarnią, ukrytą w ścianie. W tym rozległym pokoju, wzniesionym na najwyższe piętro domu, zastawionym nowoczesnymi lśniącymi meblami, nie miał doprawdy nic swojego — poza ubraniem i niewieloma książkami. Tak lubił, tak właśnie czuł się dobrze i nie chciał inaczej. W życiu swym nie mógł być związany żadnym stanem posiadania. Nawet jakieś garnki, filiżanki i miseczki były miejscowe.

Jeszcze w łazience, jeszcze jedząc później śniadanie, myślał o niej. Myślał też o Oxeńskim i jego dziwnym losie. Myślał o sobie przede wszystkim, dlaczego w to wszedł. Ale zarazem niepokoił się wciąż, że ona czeka na jego telefon, że się tam gniewa i złości, że go nienawidzi i przeklina. Było jeszcze za wcześnie, by dzwonić. Postanowił tedy zatelefonować z miasta.

Baraz odkrył, że poza myślą o niej tkwi zawsze obecność Oxeńskiego. Z czasów pobytu w jego domu zachował dla niego prawie rodzinne przywiązanie. Później, podczas dwuletniej aplikantury, którą odbył w jego tak zwanej kancelarii, gdy Oxeński był jeszcze obrońcą, Baraz uważał się już za jego przyjaciela. Był pod jego urokiem, uważał, że Oxeński odegrał dużą rolę w jego życiu. Dziwili go co prawda ludzie, którymi się Oxeński otaczał. W ich salonie różne snoby, artyści, stare hrabiny, wierzące w życie przyszłe i katoliccy pisarze mieszali się z lewicowymi posłami i groźnymi działaczami społecznymi sprzed wojny. Baraz nie przywiązywał też zbytnio wagi do upodobań estetycznych Oxeńskiego, do atmosfery dobrych książek, dobrych obrazów i dobrej muzyki, panującej w tym domu. Rzeczą najbardziej dla niego istotną było, że Oxeński, jakby już z siebie samego rezygnując, przekazywał mu pewne swoje nastawienie zawodowe, swój sposób widzenia zagadnień, związanych z wymiarem sprawiedliwości. Dużo miejsca zajmowała w tym układzie sprawa tak zwanych „okoliczności łagodzących", którym Oxeński nadawał szczególne i w sposób ujemny wykładane znaczenie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

*) Ciąg dalszy. Por. nr 13, 14, 15, 16, 17, 18, 19 i 20 „Odrodzenia".

MAKSYMILIAN BORUCHOWICZ (M. M. BORWICZ)

Literatura w obozie

Obóz pod Lwowem, chociaż nosił nazwę tzw. „obozu pracy przymusowej“ (Zwangsarbeitslager), w istocie był jednym z wielu hitlerowskich obozów śmierci. Grupy „aryjczyków“ (poza większymi transportami umieszczanymi tutaj tylko przejściowo) nie przekraczały zwykle tysiąca ludzi, były więc na ogół nieliczne. Resztę więźniów stanowili Żydzi.

Mordowanie odbywało się wszelkimi sposobami: grzebanie żywcem, wieszanie, strzelanie, topienie, zamrażanie i „wykańczanie“ biciem. Miejscem straceń był każdy metr kwadratowy obozu. Natomiast egzekucji masowych (partiami liczącymi setki i tysiące ludzi) dokonywano na przyległych doń piaskowych wzgórzach. Skazańcy — jak we wszystkich hitlerowskich miejscach zbrodni — musieli się przed śmiercią obnażać. Ciała grzebano początkowo w masowych dołach, później palono na stosach. Stos dymiący trupim zapachem na całe miasto i okolicę znajdował się na wzgórzu, niby na reprezentacyjnej estradzie. Na śmierć maszerowały brygady przy dźwiękach licznej orkiestry, złożonej w większości z wirtuozów o znanych przed wojną nazwiskach. Głód podcinał jak zaraza; opuchniętych, chorych i wycieńczonych dobijano. Zelżał nieco, gdy część brygad zaczęto wypuszczać do pracy na miasto, ponieważ brygady te przemycały żywność do obozu.

Wśród grup wychodzących z obozu („aussenbrygady“) znajdowała się (do połowy maja 1943) również brygada „Reinigung“ (Zakład czyszczenia miasta).

BAKCYL LITERATURY

Lodowaty styczeń 1943. Szesnaście godzin (bez przerwy) na dobę na siarczystym mrozie. Człowiek zamienia się w takiej sytuacji w sopel lodu.

Rąbanie lodu i usuwanie śniegu we Lwowie, tym razem na ulicy Zamarstynowskiej. Podczas tego zajęcia zaczynają gnębić mnie coraz wyraźniej słowa tworzonego odruchowo wiersza. Uświadomiwszy sobie tę (zrazu instynktowną) czynność, zaczynam nie przerywając pracy precyzować w myśli poszczególne linie wierszowe. Gdy pierwsza zwrotka była gotowa, pomyślałem o zanotowaniu jej. Odwożąc wózek z lodem do kanału, znalazłem na ulicznej stercie śmiecia kartkę brudnego papieru. Zdobyłem ołówek, poczem zastępując biurko śmieciarskim wózkiem, zgrabiałą od zimna ręką zanotowałem, w stosownej chwili, gotową zwrotkę. Papier i ołówek powędrowały do kieszeni. Zaczęło się budowanie w myśli następnej strofy.

W ten mniej więcej sposób powstawały utwory w obozie. Otoczone szczelną tajemnicą lub komunikowane tylko najbliższym, ginęły razem z ich autorami.

Ujawniały się zrazu tylko pieśni.

SINGEN!

Śpiewanie było w obozie obowiązkiem. Na wracające z pracy brygady esesowcy czekali nieraz u bram „lagru“ z batogami w ręce. Kto nie dosyć szeroko rozdziawiał usta przy śpiewie, do budki kontrolnej dochodził oblany krwią. Ten nakazany śpiew natrafiał jednak do końca na tępy opór. „Vorarbeiterzy“ robili co mogli, by wyuczyć brygadę łatwej piosenki. Gdy grupa zbliżała się do obozu błagali, by śpiewać. Ale nawet gdy po drodze śpiewano, głosy właśnie wtedy zamierały. Większość liczyła na to, że w krytycznym momencie jacyś śpiewacy w końcu się znajdą i że „jakoś to będzie“. Dopiero pierwsze uderzenia wyrywały z gardła nieokreślone tony. Pierwsze piątki śpiewały jedną melodię, dalsze inną. Powstawała straszliwa kakofonia. Niemieckiemu rozmiłowaniu w muzyce stawało się jednak zadość. Pewien brygadier mozolił się, by wyszukać piosenkę możliwie najprostszą, której by nikt — nawet gdy zechce — nie potrafił zapomnieć. I zdobył taką, z prymitywnym tekstem dla kilkuletnich dzieci. Co więcej, by ułatwić rzecz radykalnie, wpadł na następujący pomysł: tekst śpiewał jeden wybrany przez niego „tenor“, reszta zaś — ci wszyscy b. profesorowie, adwokaci, lekarze — mieli dośpiewywać tylko refren: „eins, zwei, drei“. I także nie szło.

Ta konieczność oficjalnego śpiewania rodziła oczywiście różne brygadowe „hymny“ — wymuszone, wypocone, ugrzecznione. Do zwrotek takich dodawano jednak coraz częściej inne, o szczerszej wymowie. Rzeczy te, choć oczywiście pozbawione wszelkiej wartości literackiej, notowały szczegóły obozowej rzeczywistości.

Najpopularniejszą pieśń obozową śpiewano na melodię stylizowanego „krakowiaka“, z wisielczym przyśpiewem przed każdą zwrotką. Pieśń tę śpiewano wszędzie: w obozie, w marszu... Grała ją także obozowa orkiestra; solista śpiewał słowa, naturalnie z pominięciem najkrwawszych. Dołączano za to inne, zwykle o pewnych znanych w obozie osobach. Dodatki te, liczące się z gustem esesowców, szły w kierunku głupawych sprośności. Właściwy tekst miał inną wymowę:

„Gdy wyciągną cię z kolumny,
Nie dostaniesz nawet trumny,
I na piaski pójdziesz spać,
. . . . . .“

Lub:

„Akcja“ w sierpniu, „akcja“ w lutym,
Żony, dzieci, marsz „za druty“, *)
Serce chce się z bólu rwać,
. . . . . .“

Te kropki zastępują trywialne słowa, kończące każdą zwrotkę. Bez ordynarnych wyrazów rzadko się w obozie obywano. O przyczynach zbyt długo trzebaby mówić. Niejeden gorszył się tym, tłumacząc, że wszędobylskość tego rodzaju zwrotów uchybia tragizmowi czasu i sytuacji. Obóz nie był jednak salonem. W wymienionej pieśni to formalne prostactwo (do bezokolicznikowych rymów włącznie), to sąsiadowanie i pomieszanie pierwiastków surowo nazwanego tragizmu z trywialnością. trafnie oddaje obozową rzeczywistość. Rzeczywistość, w której odwieczne zagadnienia życia i śmierci, przyjaźni, miłości i nienawiści narzucały się ustawicznie, a rozważane były w klimacie fizycznego i moralnego gnoju.

Pieśń tę zastałem już w obozie. Autor jej zmarł podobno tzw. śmiercią naturalną, na tyfus. Opowiadano, że pieśń układał i śpiewał na pryczy, w swoich godzinach przedśmiertnych.

Pewną popularność zdobyła m. in. również pieśń, zaczynająca się od słów: **„Bo w obozie, bo w obozie, czy na deszczu, czy na mrozie, wciąż harować trzeba, maszerować trzeba...“** (śpiewana na melodię popularnej piosenki wojskowej „Posłuchajcie wy cywile...“). Rejestrowała ona zjawiska obozowego życia od rannej pobudki, „waschraumów“, latryn, drutów, mordów począwszy, do handlu, który odbywał się „jawnie albo skrycie“: **„Wszystko jest tu do sprzedania, jedna rzecz jest nawet tania — to jest ludzkie życie“.**

Głód wyrazu dla dławionych uczuć szukał ujścia w starych piosenkach ludowych.

„LOKAL“ BRYGADY „REINIGUNG“

Przy ul. Słonecznej we Lwowie istnieje tzw. pasaż Hermana. Bloki domów i dwa wielkie podwórza. U wylotu drugiego z nich — ruiny teatru „Colosseum“, spalonego przez Niemców po ich wejściu do miasta. W domach mieszkania zajęte dawniej przez Żydów były teraz puste i zniszczone.

Obok ruin teatru „Colosseum“ (pod gołym niebem i na względnym odludziu, jak obozowcom przystało), brygada „Reinigung“ wyznacza, przed powrotem do obozu, punkt zborny dla swoich grup. Tak się to nazywa „prawnie“. W rzeczywistości, mocą dyskretnego układu z zarządcą domów, obozowcy korzystają z dwupokojowego mieszkania w opustoszałej części bloku, odgrodzonej od ulicy dwoma wielkimi podwórzami. Do mieszkania nie wolno wstawić żadnego grata, pokoje muszą mieć zawsze wygląd opuszałych. W lokalu z wybitymi szybami i ciężko rannymi futrynami panował klimat syberyjski. Jednak świadomość, że człowiek bodaj przez godzinę znajduje się w jakichś ścianach, miała w tych warunkach znaczenie niezwykłe. Zresztą, gdy do pomieszczeń wpakuje się stukilkudziesięciu ludzi, ścisk jest taki, że temperatura podnosi się szybko.

Fakt korzystania z tajnego „lokalu“ prowokuje do projektów „szaleńczych“. Chodzi ni mniej ni więcej, lecz o zorganizowanie „wieczorów literackich“. Gdy przychodzę z tym do brygadierów, patrzą zrazu na mnie z politowaniem: „Wydawało się, że rozsądny, a okazuje się — wariat“. To w spojrzeniu. A słowami: „Chcesz, widać, doprowadzić do nadprogramowego zastrzelenia dwustu ludzi!“ Perswaduję, że samo zdemaskowanie mieszkania również wystarczy. „Do lokalu — odpowiadają — można się przyznać, tłumacząc się wejściem do opustoszałego mieszkania. Istnienie tego lokalu leży zresztą w interesie każdego z dwustu członków brygady, toteż do denuncjacji nikt się nie kwapi. Natomiast — wieczory literackie? Pierwszy lepszy zasypie z samego strachu, że o nich wie“.

A przecież ulegają. Nie dzięki moim namowom, bo przeciw twardej logice obozu perswazje moje mają siłę bardzo ograniczoną. Ulegają raczej drzemiącej w nas wszystkich tęsknocie za ujęciem przeżywanej klęski w słowa, za próbami jej ujęcia. „Literatura jako taka“, „sztuka dla sztuki“ w tych warunkach nie byłyby ani literaturą, ani sztuką. Byłyby tylko szyderstwem. Działa tu od ponurej doli mocniejszy głód nazwania „myśli, zalewanych przez czarne wody zguby“.

Wciągnięto do przedsięwzięcia eskortującą nas milicję. Zmuszono ją nawet do postawienia czujek. Pierwszy „wieczór“ wyznaczyliśmy na niedzielę, kiedy do pracy na miasto wychodziła tylko połowa brygady, powtórzenie miało się odbyć we środę.

„WIECZORY“

Obrzydliwy pokój, wypełniony setką obozowców. Niejeden poraniony, niejeden wlokący się już resztkami sił. Między nimi tyfusowcy z czterdziestoma stopniami gorączki. Estradę zastępował rozwalony na pół, kuchenny piec. Okna zaciemnione płaszczami. Kopcąca lampka naftowa z pękniętym szkiełkiem.

Zagajając widzę oparte na sobie nieruchome spojrzenia: ociężałe i od spowszedniałego tragizmu aż bezbarwne. Potem — wiersze (Leona Birnbauma, dziennikarza Rosenberga, moje). Spojrzenia barwią się naprzód zadumą, wreszcie spod niejednej powieki wymyka się łza. Do programu włączono pięciominutowy referat lekarza dr. Pliskina o samopomocy. Zapowiada inż. Ladenheim.

Podczas krótkiej przerwy przeprowadzono zbiórkę na rzecz chorych i szczególnie wygłodzonych. Po przerwie utwory związane z wewnętrznym życiem brygady w formie satyrycznej kroniki. (Obóz — o czym nie należy zapominać — wygląda inaczej niż martyrologia na stylizowanych obrazkach, za tragizmem wlecze się czereda powszednich kłopotów, męka ociera się o trywialność sytuacji i pospolite drobnostki. Krzywdzony przez kolegów czy brygadowe „wielkości“ nie miał możności reagowania; krzywdzący nie czuli sprzeciwów; milczenie topiło garnce drobnych krzywd w morzu krzywdy monumentalnej. Piętnowanie konkretnych objawów egoizmu i sobkostwa na „wieczorach“ za pomocą brutalnej satyry zrywało izolację, bezradne sam na sam krzywdzonego z krzywdzącym).

„Wieczór“ wywarł duże wrażenie. Kilku obecnych niemal równocześnie poprosiło o głos, dziękując za „nieprawdopodobny dar“ i prosząc o kontynuowanie przedsięwzięcia. Zbiórka na samopomoc dała poważne wyniki.

Powtórzono „wieczór“ w najbliższą środę. Teraz wielu już bez namowy proponowało współudział. Odtąd „imprezy“ odbywały się niemal regularnie w każdą niedzielę z powtórzeniem we środy. Wieść o nich rozeszła się po obozie bardzo szybko. Dotarła również do „biura technicznego“, gdzie poszczególne wiersze przepisywano na maszynie. Zaczęły krążyć odpisy.

Dotąd przeświadczenie, że każdy krok i każde słowo śledzi utajony szpieg, sznurowało usta. Teraz masowość uczestnictwa w imprezach i niemożliwość kontrolowania zasięgu ich echa stwarzała — jak określił jeden z członków brygady — „daltonizm na punkcie barw niebezpieczeństwa“. Przełamanie psychozy spowodowało większą swobodę w rozmowach, nawiązanie kontaktów i głośne szepty na tematy już nie tylko literackie.

„Wieczory“ przerwano dopiero w kwietniu, kiedy późne zapadanie ciemności pozbawiało podwórze koniecznej izolacji. Potem wypadki potoczyły się bardzo gwałtownie. Faktem jest jednak, że wieść o tych szaleńczych imprezach i o późniejszych (organizowanych w mniejszych gronach, za to na terenie samego obozu) do esesowców nie dotarła.

„CECH LAMPENSCHIRMÓW“

W maju 1943 odbyła się w obozie jedna z masowych rzezi. Wśród dwóch tysięcy innych zginęli wtedy również literaci — Aleksander Dan, Karol Drezdner (autor tomiku „Heine i nieznajoma“ oraz rozpraw historyczno-literackich), M. Bornstein (pisujący przed wojną pod pseudonimem M. Boren) i inni. Po ponurej grze w ciuciubabkę ze śmiercią wylądowałem w złączonych z obozem D. A. Werke.

„Cech“ introligatorów, drukarzy, kartoniarzy. Oddział „lampenschirmów“. Kilkanaście osób obojga płci. „Vorarbeiterem“ był żywy, dwudziestoletni chłopak, Brener. Z młodocianej organizacji robotniczej, do której należał przed wojną, wyniósł nie tylko spory zasób wiadomości, ale również entuzjazm samouka. Dobry kolega, umysł żywy i wiecznie ruchliwy. Już dawniej, dowiedziawszy się pocztą pantoflową o „wieczorach“ w „Reinigung“, postanowił urządzić na małą skalę podobną „imprezę“ w oddziele „lampenschirmów“. Znajdujący się od początku w tej grupie powieściopisarz R. Grün (autor ciekawej powieści w języku żydowskim „Tkacze z Kołomyi“) pracował również, nie przy abażurach jednakże, lecz nad powieścią z życia obozowego. Fragmenty czytywał współwięźniom. Ktoś stawał w takich razach „na zeksie“ (w gwarze obozowej: „na czujce“), w odpowiedniej chwili sygnalizował niebezpieczeństwo. Z tych i innych przyczyn urzędowa „produkcja“ cechu była groteskowo mała, lecz „vorarbeiter“ maskował wszystko swoją przedsiębiorczością.

W tym właśnie czasie nastąpił ostatni akt tragedii lwowskiego ghetta. Do obozu znowu wpadło wielu znajomych. Korzystając z kontaktów w biurze technicznym, ściągnęliśmy do tego cechu kilku uratowanych wtedy, m. in. dziennikarza D. Fränkla.

Pisanie przybrało określony cel: przekazanie faktografii znanego nam z bezpośrednich obserwacyj odcinka bezprzykładnych w dziejach prześladowań. Nie było to zresztą przedsięwzięcie ani oryginalne, ani odosobnione. Narzucało się samo. Dyktowała je sytuacja. Literat Zygmunt Schor spisywał np. charakterystyki i dane o roli różnych „figur“ obozowych. Usiłowań takich było w obozie na pewno dużo.

W związku z tym organizowano przemyt rękopisów za druty. Część z nich istotnie się dochowała. Inne przepadły, jeszcze inne ulokowano pod nieznanymi mi adresami.

NA PRYCZACH

Te luźne i oderwane od całości szczegóły były w życiu obozowym oczywiście drobnymi kruszynami. Działy się na tajonych marginesach makabrycznego przeżycia. Mimo to były przejawem głębokiej potrzeby.

Na pryczach odbywały się nocą zebrania i narady, a na zebraniach recytacje. Właściwym przedmiotem tych zebrań było coraz częściej obmyślanie i organizowanie czynnych akcyj. „Literatura“ jednak i wtedy spełniała określoną rolę.

Jak potrzeba nazwania przeżywanej rzeczywistości była powszechna, zilustruje jeden z wielu przykładów: w pewnym czasie z kilku stron poczęto mi „polecać“ dwunastoletnią wtedy dziewczynę, Jankę H., pisującą wiersze i recytującą je w barakach kobiecych. Zachowałem się zrazu opornie; konspirowa-

*) Iść „za druty“ — iść na śmierć w gwarze obozowej.

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

SZOPEN

(Fragment poematu)

I

...Umarły Szopen znów o Polsce marzy —
znów łzy mu płyną po rzeźbionej twarzy,
potężną dłoń dźwignąwszy nad ruiny
odpływa znowu w świat daleki, inny —
tam, skąd go prośbą pełną krwi i żaru
przywołał niegdyś zmartwychwstały naród.
Lecz nie.
Nie odszedł.
Patrzy, słucha jeszcze:
melodyj znanych szuka w drzew szeleście,
znajomych dźwięków w plusku srebrnej wody...
Jeszcze mu grają głosy dziewcząt młodych,
jeszcze mu śmiechy jasnych dzieci dzwonią
pod jego władczą się bawiących dłonią.
Nie odszedł Szopen.
Może jeszcze brodzi
po gmachu drżącym niegdyś od melodyj,
od polonezów brzmiących coraz szerzej
spod dłoni mistrzów i spod rąk młodzieży
co przybywała tu z całego świata,
by z jego duchem swoje duchy zbratać.
Po gmachu..
Jakim?
Czarne sterczą ściany,
jak martwe węże wiją się organy,
a obalone gzymsy i kolumny
zwęglone kryją fortepianów trumny.

II

Aż raz na miasto od Alej
grzmot się potężny przewalił...
Dzieci przelękłszy się gromu
z płaczem wybiegły z swych domów,
sąsiad sąsiada się pytał:
Gdzie-to znów wybuchł niewypał?
— spod Belwederu zaś na dół
ludzie zbiegali gromadą,
coś, płacząc, innym szeptali,
płakali — i biegli dalej...
Tak biegła wieść bezimienna:
N i e m c y z b u r z y l i S z o p e n a !
I tkała w bezgłośnym krzyku
Warszawa po swym pomniku.
...Byłem przy tobie w ten dzień, Fryderyku...
Jak niegdyś twój fortepian o bruk
zdruzgotał inny wróg,
tak dziś świętokradcza dłoń
po twoją sięgnęła skroń,
po twoją wspaniałą głowę...
W popiersie twoje bronzowe,
w rzeźbioną powłokę mitu
sypnęła garść dynamitu.

Leżałeś obalony, lecz nie zdruzgotany —
dymiły w piersiach twoich wyszarpane rany,
jak kadzielnica dymił twój sierocy cokół...
Oprawcy precz odeszli — cisza była wokół,
szumiały tylko wierzby... Wróble przelęknione
sfrunęły z świergotaniem na twe martwe łono
jak gdyby — nieświadome — chciały ciebie
zbudzić...
I stali za kratami oniemiali ludzie...

III

Lecz na darmo wszystko, na darmo!
Nie pochłoną cię lufy armat,
bo już dźwięczy spiżem twe imię
na Pawiaku i w Oświęcimiu!
Niech przekuwają twą dumną głowę
na morderców hełmy stalowe,
z martwej pustki zburzonych estrad
wstaje oto nowa orkiestra:
serca polskie, serca gorące
grają tobie twój własny koncert —
z półotwartych okien balkonów
płyną strugi żyjących tonów,
na przedmieściach, w ciasnych podwórkach
gwar dziecięcy cichnie — w mazurkach!
Nie wstrzymają więzienne kraty
niby potok rwącej sonaty!
Grają, grają niezłomne serca
wykreślone z afiszów scherza!

Niech jak pomnik w lufy przekuty
zniszczy Niemiec twe wszystkie nuty —
nie pokona ciebie, nie złamie,
bo cię znamy, znamy na pamięć!

1941 r.

nie z dwunastoletnią dziewczyną nie może pociągać w instytucji, gdzie w razie wypadku trzeba umieć milczeć. Janka, nie mogąc doczekać się skontaktowania ze mną, zmyliła swoich „vorarbeiterów" i klucząc przed esesowcami dotarła do mnie sama. Nie było w niej nic z łatwej zadzierzystości, ani zmanierowania. Przeciwnie: skromna, zasępiona i zamyślona. Wiersze jej były prymitywami w dobrym tego słowa znaczeniu. Sposób, w jaki je recytowała, naturalny i pozbawiony wszelkiej afektacji, wywierał duże wrażenie.

Dziewczyna ta była pierwszą osobą, której wydostanie się z obozu zorganizowałem bezpośrednio po swojej ucieczce. Przywieziona przez łączniczkę do Krakowa, przeżycia swoje pod hitlerowską okupacją spisała w pamiętniku, który uderza prostotą i rzeczowością. Autorka żyje.

WNIOSKI

Nie można rozprawiać o tzw. obiektywnej wartości utworów obozowych, skoro większa ich część zginęła razem z ich autorami, inne czekają dopiero ujawnienia. Jak zawsze i jak wszędzie, poziom był najrozmaitszy. Jedno jest pewne: żadnego z nich nie należy oceniać w oderwaniu od warunków, w jakich powstał. Nie tylko jeśli chodzi o materiał czy tematykę, ale również ich wygląd formalny.

Utwory te można by podzielić na dwie duże grupy: tworzone „od ręki" okolicznościowe prymitywy, najczęściej pod popularną melodię, i rzeczy opracowane z świadomą troską. Czy niejedna pieśń lub wiersz, samorodne, wyrzucone z pasją, niedbałe, niechlujne i najczęściej bezimienne, nie powiedzą w ostatniej instancji więcej niż niejeden utwór wypracowany, to już rzecz inna. Zresztą na ich poetyce i stylistyce ważyły czynniki, gdzie indziej nie wchodzące nawet w rachubę. Na przykład wiersz (i to w poczciwie tradycyjnych zwrotkach czteroliniowych) nadawał się z kilku względów: czterowiersz taki łatwiej niż każdą inną strofę precyzować w myśli, łatwiej się go także nauczyć na pamięć. Było to wskazane tym bardziej, że utwory recytowane były głównie nocą, na pryczach lub w innych, wykluczających czytanie okolicznościach. Noszenie z sobą notatek było zresztą niebezpieczne. Dlatego tzw. wierszem pisano nie tylko poezje, lecz także np. felietony. Po wtóre, słowo tyle mówiło, co znaczyło. Wyrazy w zwykłych warunkach wyblakłe i wymagające odświeżenia, tam odwoływały się do pojęć boleśnie realnych i bliskich. To również wywarło swoje piętno. Surowa refleksja, zarówno w odczuciu piszącego jak słuchaczy, zamieniała się w lirykę refleksyjną, chociaż wiersz, brany w oderwaniu, mógł na tę nazwę jeszcze nie zasługiwać. Wreszcie konieczność absolutnej „zrozumiałości" w warunkach, gdzie poszukiwanie form graniczyłoby z urazem, wyrażała się często w stosowaniu stylu tradycyjnego.

Inny przykład. Mam przed sobą dochowany w przemyconych z obozu rękopisach reportaż jednego z kolegów. Autor był zawodowym dziennikarzem; reportaż pisany świadomie na „wywóz". Chęć wbicia do głowy nieznanemu czytelnikowi grozy położenia, przeświadczenie, że ten czytelnik grozy tej może nie pojąć, wywołuje strumień tylu powtórzeń, apostrof, pytań retorycznych i wykrzykników, że przesłaniają one skąpy opis samych faktów. W rezultacie typowe rozminięcie się wyników z zamierzeniem. Albo wiersz, opisujący stos, na którym spłonęli rodzice autorki, kończy się: „A może, może jednak Bóg jest na świecie?". Zamknięcie to, brane w oderwaniu, raczej banalne. Całość — prymitywna. Tyle tylko, że wiersz pisała dziewczyna dwunastoletnia.

Świadomie pominąłem omawianie poszczególnych pozycyj. Będzie na to czas, gdy zachowane utwory i to z niejednego obozu doczekają się publikacji. Chodziło natomiast o zanotowanie kilku objawów literackich w obozie. W tych potwornych okolicznościach istniały one dlatego, że ogół skazańców zachłannie ich pragnął. Powszechne były, wyrywające się wciąż i niezmiennie, pytające westchnienia, czy to co się dzieje „ktoś kiedyś opisze?", „czy to w ogóle można opisać?" W powszechności i w powszedniości tych westchnień było instynktowne odwoływanie się do logiki dziejów, przesłanianej do czasu piramidą mordów. Do rzeczywistości, która przyjdzie. Świadomą u jednych, podświadomą u innych wiarą, że te wszystkie męki gdzieś jakoś jednak się liczą. Literatura miałaby odegrać rolę czujnego i rzetelnego rejestratora, dającego świadectwo prawdzie.

Westchnienia wyrywały się bez mała wszystkim, więc i z piersi ludzi, którzy w przeszłości żadnego kontaktu z piśmiennictwem nie mieli. Nie wypływały zatem z nawyku. Były samorzutne, odwnętrzne.

Samorzutność tego rodzaju oczekiwań i żądań wobec literatury istniała zawsze i wszędzie. W epoce nasilenia i masowości wzruszeń bywa tylko powszechniejsza i częściej się uzewnętrznia. Nie pięknoduchy, lecz nawet nędzarze i straceńcy, których wszystkie inne ambasady do szczętu już oszukały i zawiodły, oczekują jeszcze sprawiedliwości bodaj za grobem od ambasady ludzkiego i dziejowego sumienia, od literatury.

Nie mogła oczywiście spełnić tej roli dorywcza i sama w koło wpleciona literatura tego lub innego obozu. Musi ją spełnić literatura przyszłości.

Maksymilian Boruchowicz

KAZIMIERZ BRANDYS

Bukszpan

Na tytułowej stronie „Cyrulika Warszawskiego" widniało co tydzień motto zaczerpnięte z Beaumarchais: „Śmiejmy się, kto wie czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie". Ten śmiech, który Kott nazwałby katastroficznym, ten śmiech przez trzy tygodnie miał łatwy obieg i umiał się podobać. Szybko wydarł się poza łamy „Cyrulika", zabrzmiał na scenach rewii i kabaretów, wymieniano go między sobą prywatnie w postaci tysiąca dowcipów; „Skamander", „Wiadomości Literackie", Ziemiańska, IPS objęły nad nim serdeczny patronat. Ten śmiech pozornie nie szkodził nikomu i na czas skeczu czy piosenki godził poważnionych; z żydowskich kupletów śmiali się Żydzi i żydożercy; ci, których bito na ulicy i ci, którzy bili na ulicy zgodnie oklaskiwali zwrotki, w których o biciu na ulicy w ogóle nie było mowy. Śmiano się chętnie i często, poczucie humoru stało się cenzusem towarzyskim i umysłowym, a jego brak — śmiertelnym grzechem. Istniały grupki i kółka o śmiechu zorganizowanym, wyłącznym, własnym; obcy nie miał tam wstępu, albo musiał odbywać długi nieraz termin, a jeśli zdarzyło mu się powiedzieć coś nie dość zabawnie, lub co gorsza poważnie — przestawał istnieć.

Poczucie humoru! Te słowa mogły stać się nienawistne dla tych, których nie wszystko śmieszyło w owych czasach. Człowiek o śmiesznym nazwisku, człowiek w śmiesznym ubraniu, człowiek z brodawką na nosie, człowiek źle wymawiający byle zgłoskę, człowiek z zasadami — padali łupem majstrów poczucia humoru, ginąc nieraz od jednego kalamburu, który komuś zaskarbiał półgodzinną sławę. Śmiech przestał być instrumentem mądrości, stracił swe najcelniejsze znaczenie, zaczął służyć wszystkim przeciw wszystkim. Śmiano się byle jak, śmiano się z czego bądź, golibroda z winiety satyrycznego pisma ostrzegał co tydzień: kto wie, czy jeszcze trzy tygodnie? Ten cytat ma dziś wymowę dość przerażającą, ten prekluzywny termin nadszedł przecież wreszcie i zapewne w dniu, w którym pozostało istotnie tylko trzy tygodnie do końca świata dni międzywojennych, śmiano się równie beztrosko, jak każdej godziny umarłych lat dwudziestu.

Humor, satyra, żart — któż przeciw temu walczy? Prawdziwa cnota krytyk się nie boi, prawdziwa mądrość nie lęka się śmiechu, lecz przeciwnie — powinna do niego zachęcać. Rzecz jednak w tym, czy każdy śmiech jest dobry. Satyrze nie trzeba niczego narzucać, ale powinna z tego wyciągać pożyteczne wnioski: nie ze wszystkiego bowiem śmiać się warto. Ten śmieje się dobrze, kto śmieje się mądrze, oszczędnie, celowo. Za uśmiechem, za drwiną, za ironią musi się czaić czujne, przenikliwe spojrzenie odkrywcy. Satyryk to postać poważna, obdarzona poczuciem nie tylko humoru, ale i moralności, wrażliwa nie tylko na śmieszność, ale i na nieprzyzwoitość, zło, brud, przemoc, ohydę; to postać pisząca mową zabawną o rzeczach poważnych, lecz nigdy mową niepoważną o rzeczach zabawnych, bo cóż komu z tego? To wreszcie postać głęboko społeczna, dbająca o wyższy pożytek ze swego śmiechu, o nieosobisty zysk z szyderstwa, które mu służy za narzędzie w walce o dobro zbiorowe, lecz nigdy o korzyść własną. „Skarga i Stańczyk — raz ktoś rzekł — to dwa temperamenty artystyczne jednej treści duchowej". Darujmy to zestawienie; ale rzecz chyba słuszna — satyryk musi być potrosze kaznodzieją i odwrotnie.

To słowo „satyra" trzeba postawić w wielkim cudzysłowie, pisząc o latach między majem a wrześniem w Polsce przedwojennej. Satyry ambitnej, satyry zaszczytnej, najdumniejszego rodzaju mowy żartobliwej w tych latach w Polsce nie było. Był kuplet, skecz, nonsens czy zręczne słówko, ale humor tych czasów zasiadł na dwóch stołkach, cenił lukry i cukry — humor obłaskawiony, szyderstwo uznane oficjalnie. Gdzieś tam, na ucho, szeptano pewnie między sobą o demokracji, o pogwałceniu praw, że ten w Berezie, a ci przy żłobie. Ale w końcu? W końcu ten przy żłobie zdradzał poczucie humoru, a ten w Berezie zbyt poważnie upierał się przy swych zasadach. Satyryk więcej cenił humor niż zasady, więc szło się na kawę, gdzie trzeba i z kim trzeba, a na przyjęciu u ministra opisanym w powieści Nałkowskiej — iluż dałoby się znaleźć pokątnych szyderców reżymu i jawnych sztukmistrzów kupletu w jednej wygorsowanej osobie.

Żart narodowy tych czasów wykołysał się na łonie sanacji i nie potrafił zdobyć sobie nawet pozycji błazna, któremu wolno mówić władcy niemiłą prawdę w oczy. Po jakich kątach kryła się satyra polska w okresie Brześcia, Berezy i proniemieckiej polityki Becka? W jakich to szyderstwach piętnowała przymierze „Ozonu" z korporantami i cichy flirt „socjałów" z sanacją? Z tego, że jakieś słowo można zabawnie złożyć z innym słowem, żadna nauka nie płynie, lecz ileż głębokich wniosków można było wyciągnąć z absurdalnego faktu, że chłop, który jajko sprzedawał za cztery grosze a kurczaka za 25 gr., musiał za bilet z Warszawy do Poznania płacić około 30 zł.? Czyż nie temat dla satyry i żartu? Gdzie, kiedy i kto z tego się śmiał? Gdzie, kiedy i kto opisał antyszambry, przez które wchodziło się do literatury, zabiegi, którym musiał się poddać każdy aspirant pióra, zanim mu wydano tom w „Roju" lub wydrukowano wiersz — gdzie? właśnie w owych „Wiadomościach Literackich", organie wyzwolonym ze śmieszności moralnej. A to była Polska, jej sprawy, jej ułomności, bolączki. Polska, która nie była nigdy, a tym bardziej wówczas „sanatorium dla ludzi zmęczonych faszyzmem", jak twierdził autor sztuki satyrycznej; Polska numerus nullus, Polska zdarzeń przytyckich, kraj zagrożony przez faszyzm od zewnątrz i hodujący go w swym własnym łonie.

Żart, humor tych czasów był wówczas w rękach najmodniejszych poetów, którzy uważali się za wrogów faszyzmu i w wielu wypadkach może istotnie nimi byli. Ale niepojęta słabość moralna, nie tylko brak odwagi, nie pozwalała tym wrogom faszyzmu szydzić publicznie z jego protektorów, bo piło się z nimi kawę przy jednym stoliku, codziennie o dwunastej. Ci przyjaciele demokracji nie umieli o nią walczyć nawet piórem, bratali się przy kieliszku czy szklance z jej prześladowcami, którzy w godzinach urzędowych lubili wtrącać do więzień mniej gładkich towarzysko przyjaciół demokracji i wrogów faszyzmu. Tak dziwnie plotło się życie w niedawnej Polsce.

W roku 1936 faszyzm zdusił rewolucję ludu hiszpańskiego, w roku 1938 ogarnął Austrię i zadał pierwszy cios demokracji Czechosłowackiej, w roku 1939... W roku 1939 „Wiadomości Literackie" ogłosiły nowy „konkurs Grypsa", „camera obscura", rubryka nonsensów w tym piśmie, wyśmiewała ogłoszenia matrymonialne w częstochowskich dziennikach, a popularny aktor śpiewał na deskach rewii o Chaplinie i Hitlerze: „kto światu więcej śmiechu dał?" W dniach, gdy sprawca najkrwawszych zbrodni w dziejach świata zatknął swój załamany znak na Hradczynie, gdy wkrótce miał go zatknąć na Wawelu i Zamku Warszawskim, gdy Polska była już okrążona od północy, zachodu i południa, w wesołej stolicy śmiano się do rozpuku ze słów zabawnego refrenu: „Ten wąsik, ten dąsik, kto światu więcej śmiechu dał?" Ten dąsik mieliśmy odczuwać przez lat pięć z górą, przez tych lat pięć, w których właściciel wąsika dał światu najwięcej śmiechu i wiele innych rozrywek. Tak lekkie, tak szampańskie żarty z faszyzmu mogły być usprawiedliwione tylko tam, gdzie uczyniono wszystko, aby ziemię i lud zabezpieczyć od kataklizmu, który rósł na oczach wszystkich.

Ale poczucie humoru kwitło. Żart produkowało kilku ludzi, dowcip był skartelizowany i monopolistyczny. Najpoważniejszy teatr stolicy skrzyżowano z kabaretem, na wielkiej scenie brzdąkała lada zwrotka, z dziesiątków teatrzyków rozlegały się coraz to inne, byle nowe, byle wesołe. Rubryka nonsensów w najbogatszym piśmie literackim kraju stała się rozrywką niemalże narodową. Przypadkowy błąd zecera, głupstwo pismaka, pierwszy z brzegu idiotyzm, cokolwiek i gdziekolwiek — dawało rozkoszny asumpt do przedowcipnych kalamburów. Ogół czytelników wprzągnięto do tych zajęć, inteligenci, erudyci, pięknoduchy, cynicy i snoby wyławiali co tydzień z prasowych mętów złote rybki absurdu, za które pismo płaciło ileś tam nagrody. O, sielska epoko! Mógłbym skreślić przecinek po pierwszej literze i udałby mi się kalambur, który tak kochałaś, ale cóż mi po tym. „Camera obscura". Konkursy Grypsa. Recenzje teatralne, w których dla śmiesznego zestawienia słów autor unicestwiał ciekawą nieraz sztukę. Byleby zabawnie, byleby wesoło. Humor nonsensu. „Pure" nonsens. Mania anglosaska, flanelowi europejczycy z Mazowieckiej. Akrobacja zgłosek. Limeryki. Rymowano „bukszpan" z „róg — żpan", „anglikański biskup" do „czopki Spiess kup", jak gdyby w kraju zaginął już słuch o rymie do biskupa; rymowano „wierzba" z „pieprz da", ponieważ to świadczyło o wysokiej inteligencji i poczuciu humoru, którego nie miał zegarmistrz z Piotrkowa czy sekwestrator z Radomia i pękano ze śmiechu z biednego zegarmistrza, który nie odczuwał komizmu tych rymów. Ten humor nawet nie był własny i nie polskim przemawiał językiem; ów senator Lancing, „jedyny rym do słowa dancing", nigdy Polski na oczy nie oglądał, ów bukszpan był sztucznie przeszczepiony zza morza, gdzie pewno dawał pożytki, ale co nam po nim? Cudze igraszki, margines obcego humoru, przyswoiliśmy sobie w wydętych rozmiarach. W tych miesiącach, tygodniach i dniach — w Berlinie opracowywano strategię inwazji wrześniowej.

Więc ślepota? Niechybnie tak. Humor tych czasów utracił związki ze społeczeństwem, nie umiał dostrzec zarówno jego kalectw, jak przewidzieć grożącego zła. Limeryczny bukszpan mocno zapuścił korzenie w ziemię czarnoleskich drzew; zegarmistrza z Piotrkowa czy z Radomia nikt nie potrafił ostrzec przed dąsikiem komicznego wodza. A redaktor „camery obscury" nie posiadał się z radości, wciąż znajdując w krajowych dziennikach nowy materiał do śmiechu: „Poszukuję blondynki, może być z pieskiem". Na tej ziemi żył Krasicki i Boy, tu powstał niegdyś „Doświadczyński" i „Słówka", brzmiały jeszcze stare fraszki i bajki, a słowo „Ciemnogród" jakże często cisnęło się na usta.

Nie tylko dobry sens polskiej myśli satyrycznej został w tych latach zaniedbany; humor, satyra, dowcip, żart tych dni sięgnęły po język do przedmieść, peryferii, nabrały w usta żargonu i gwary; mowa zabawna stała się mową skażoną. Znów — byleby śmieszniej, byleby weselej. Zdeformowane słowo daje niewątpliwie efekty komiczne i zdanie „Jak mu spotkasz, to go powiedz" brzmi zabawniej niż to samo zdanie wypowiedziane poprawnie, ale co komu po tym? Na fraszkach z Czarnolasu dziś można by się uczyć polszczyzny; kto zapragnie sięgnąć po tę naukę do Wiecha, który, bądźmy szczerzy, pod niejedną strzechę zawędrował, jakim językiem przemówi? Ileż osadu zebrało się już dzisiaj w potocznych frazesach, określeniach, słówkach: wariat, niegdyś bez piątej klepki, dziś — „kopnięty w móżdżek"; serce, które dawniej nie dopisywało, dziś po prostu „nawala"; obławę nazwano „łapanką", samogonkę „bimbrem", oszustwo „kantem" czy „lipą". Tak mówi dziś niemal cały naród. Bo fraszka, wierszyk czy żart, bo dwa słowa związane zręcznym rymem łatwiej wpadają w nieosłuchane ucho, niż opinie o modernistach francuskich. Zegarmistrz, urzędnik czy felczer, który limeryków nie rozumiał i kalamburów nie trawił, który czuł obcą manierę i cudzoziemski akcent, dobrze chwyta słówka Wiecha i jego naśladowców i przyswaja ich język na własność. Jedyna próba sięgnięcia do rodzimych źródeł humoru dała gwarę targowisk i tzw. „szmonces"; bardzo to zabawne, ale co komu po tym? Satyra tym większą ponosi odpowiedzialność za słowo, tym bardziej powinna je ważyć, że myśl w nim wyrażona wszędzie dociera w szybkim, lotnym obiegu, bez mozołu żmudnie wędrującej prozy, bez oporu metafor, które tak długo nieraz czekają na swój dobry czas.

Prawdziwa cnota krytyk się nie boi. Nie przelękną się ich zapewne i „Szpilki". Bo do nich kieruję te słowa. Do „Szpilek", które jedyne w ostatnich latach przed wybuchem wojny próbowały czasem wstrząsnąć bukszpanem satyry polskiej, usiłując szydzić z ohydy, nie tylko ze śmieszności, bronić sprawy słusznej, nie tylko bezpiecznej. Do „Szpilek", których pierwsze próby w Polsce oswobodzonej od faszyzmu sprawiły mi zawód.

Ten śmieje się dobrze, kto się śmieje pierwszy. Celem satyry jest ujawnianie przywar w zarodku, nie w rozkwicie, w powijakach, nie w pełni rozrostu. Satyryk to dalekowidz, intuicjonista, odkrywca i podglądacz, szyderca przenikliwy, węszący głupców w mędrkach, łajdaków w świętoszkach. Gdzież w „Szpilkach" bystre spojrzenie w sedno społeczności, którą nagła wolność pobudziła do tysiąca bezwiednych gestów, min, dygów, grymasów, podskoków? Ileż karykatur, jaki bezmiar typów! Okres pierwszych niezdarnych poruszeń i ostatnich niepewnych rachunków, tchórzliwych dotknięć i bezczelnych sposobów, ten okres minie wkrótce, a któż go utrwali i przekaże przyszłości, jeśli nie satyra? Szpilka w ryj słowoleja, szpilka w zadek podskakiewicza, w brzuch paskarza, który „się nie angażuje", w ciemię reakcjonisty, który czeka, w ozór świeżego entuzjasty, który czekał do wczoraj. Tysiące, tysiące szpilek. Któż jeśli nie satyryk to wyśmieje, któż jeśli nie wy napiętnuje?

Ale w paru numerach łódzkich „Szpilek", które wpadły mi do ręki, dalej kalambur się wlecze w zaprzęgu nonsensu. Czemu poeta, który w niewoli potrafił składać wiersze tak prześliczne, na wolności wskrzesza obrzydły po stokroć absurd o makabrycznym dentyście? Po co gdzieindziej nieznośne czyhanie na okazję do gry liter, sylab czy słów, która nie wykracza poza świat liter, sylab i słów? Jakiż pożytek z kalamburu, jaka nauka z figlów, które tak dawno przestały być nawet pocieszne? Co krok pozycje znane nie tylko z „Cyrulika", ale z lada okupacyjnej gazetki, którą się brało w dwa palce. Rubryka humoru w „Nowym Kurierze Warszawskim" roiła się od tych pomysłów, bardziej nam dziś obcych, niż żart z epoki kamiennej „Człowiek barczysty — barman. Człowiek lokujący kapitały — lokator". Te same czy podobne, ożyły dziś na łamach „Szpilek" i co komu po nich? Jeśli mógł ich zaniechać Minkiewicz, który pierwszy się nimi zabawiał, jeśli umiał ich się wyrzec i jedyny ze „Szpilek" poruszył w ostatnich swych wierszach dźwięczny ton satyry mądrej, użytecznej, to czemu nie pójdą jego śladem inni, którzy tak pojętnie chwytali niegdyś limeryczne rymy? Ten się śmieje źle, kto śmieje się ostatni.

Nie było zapewne przypadkiem, że słowa Beaumarchais, przeczucie schyłku epoki, zostały podjęte w trzecim czy czwartym dziesiątku dwudziestego wieku. Kto wie, czy świat potrwa jeszcze trzy tygodnie — znaczyło: kto wie, czy pozostało nam jeszcze trzy tygodnie wesołego życia, więc śmiejmy się. Śmiejmy się bez sensu i użytku, bo jakiż użytek z trzytygodniowego istnienia.

Ten bagatelny śmiech powinien zniknąć z kart satyry polskiej. Czekają ją wielkie próby szyderstwa w walce o trwałość świata, który się rodzi w huku dział. Trwałość tego świata, siła jego podstaw da nam to, czego tak pragniemy: bezpieczeństwo życia ludzkiego na sprawiedliwej ziemi. Niech więc szydzi satyra z tych, co o tym wątpią.

STEFAN OTWINOWSKI

Literatura i życie

(Próba rachunku)

Inaczej przeżywali wojnę ci, którzy, ukrywając się w dużym mieście, za jedynego powiernika i przyjaciela mieli tylko własne myśli, własny strach — inaczej ci, którym dane było strachowi wyjść naprzeciw, włączyć się w społeczne bądź co bądź życie konspiracji, walki, partyzantki. Natury słabe, a czasami tylko tragiczne, osaczone warunkami, produkować musiały swój zastępczy świat, a przewodnikiem ich był właśnie ów wszędzie obecny lęk. Zbrodnicze metody gestapo nie ograniczały się bynajmniej do sposobów czysto praktycznych. Dla nas, mieszkańców okupowanych przez policję hitlerowską miast, najgroźniejszą ze wszystkich gróźb była właśnie ta psychiczna zaraza strachu. Wyobraźnia chwytała wszelką inspirowaną plotkę, każdy podsunięty, gdzieś zresztą rzeczywisty, obraz. Wyobraźnia pomagała rozwojowi tej epidemii. Ta zbrodnia hitlerowska była najstraszniejsza: ludzie umierali bez oczyszczenia z degradującego ich godność strachu.

„Pachniało jodoformem, pommes-frites, strachem" — był czas, że słowa Rilkego, bezwiednego sprzymierzeńca nazistowskiej metody, wydawały się nam młodym wówczas pisarzom, piękne. Strach, niepewność, smak zbliżającej się katastrofy — to były nastroje, w których smakowali nawet ci, którzy wiedzieli, że smak ów nie ograniczy się tylko do nastroju. Ale któż mógł przypuszczać, że dreszcz ów, gustowny psychologicznie, przyjdzie nam przeżywać z dnia na dzień przez łata, jako jedyne pożywienie wyobraźni i życia wewnętrznego w ogóle.

W czwartym dziesięcioleciu byli pisarze, którzy przeczuwali groźne następstwa tego gustu, nie było jednak dostatecznej akcji literackiej przeciwdziałającej. Coraz bardziej czynni stawali się ci, którzy skłonni byli wierzyć naprawdę w diabła, a kościół katolicki uważać za jedynego godnego przeciwnika wszelkiego szataństwa na świecie. I jak kiedyś podobał się ogólnie Rilke, potem zaczęto wielbić Mauriaka i Bernanosa.

Nie można jednak kwestionować, że ta psychologiczna i mistyczna literatura pogłębiła intelektualną wartość powieści polskiej. Literatura piękna sprzed okresu dwudziestolecia cierpiała na grzech upraszczania lub fałszywego uszlachetniania postaci. Mądrzy i konsekwentni w swej mądrości w dawnych powieściach polskich — to tylko spryciarze typu Rzędziana czy Chilonidesa. Jeden jest łobuzem a drugi zwykłym złodziejem. Żeromski nie potrafił utrzymać konstrukcji intelektualnego dialogu. Wyjątek i tu stanowi oczywiście Prus. Orzeszkowa ma również postaci z prawdziwego zdarzenia.

Gombrowicz w swej karkołomnej dialektyce nie ma żadnych załamań czy braków. W obrębie swojej metody jest naprawdę pisarzem europejskim. Trzeba atakować metodę a nie pisarstwo, żeby być w porządku w walce z takim przeciwnikiem. A Andrzejewski: dyskusja wewnętrzna księdza wioskowego z niewidzialnym złem jest na pewno na wyższym poziomie umysłowym, aniżeli wszystkie rozmowy wybitnych intelektualistów Przybyszewskiego, czy racjonalistów Sienkiewicza. Nie można więc chyba twierdzić, że ostatnie osiągnięcia polskiej powieści psychologicznej nie mają żadnego znaczenia w rozwoju kultury. Prawdą jednak jest, że przez swoją jednostronność przyczyniły się do dezorientacji światopoglądowej czytelnika. Pisarze społeczni także ulegali koszmarowi nierzeczywistości i swój realizm gubili w grubej deformacji i konstruktywizmie. Zawiniła tu głównie krytyka literacka i nierozłączna z nią reklama „Wiadomości Literackich". Powieść psychologiczna a raczej psychiatryczna o wyrafinowanej konstrukcji i wierna jej krytyka literacka odsunęły ważność wszelkich innych gatunków. Nie odbyło się to bez szkody dla samej literatury i dla interesu humanizmu w ogóle. Autorzy, których pokusił gatunek Rilkego i którzy szli jeszcze dalej, tracili czytelników, rzadko zyskiwali wyznawców, byli przecież za słabi na tworzenie nowych wyznań. Uszlachetnienie przez wyczulenie — wyznanie mistrza — okazało się groźne nawet indywidualnie dla twórców; wzrost chorób nerwowych społecznie przyniósł, na przykład w Niemczech, klęskę humanizmowi właśnie.

Zjawiskiem otrzeźwiającym umysłowe życie Europy Zachodniej i Polski stała się wojna hiszpańska. Zbliżał się los, a z nim nadzieja wielkich przemian i powszechnego oczyszczenia. Wszystkim było już bardzo duszno. Ale to oczyszczenie było dla nas bardzo kosztowne. Koszta płacimy aż do tej pory — także niepewnością stylu, której nie znają pisarze już najmłodsi.

Literatura i życie. Życie. To oczyszczenie kosztowało nas dużo, tym więcej, jeśli trzeba było przeżywać je w samotności. Lata niemieckiej okupacji, to przede wszystkim zupełne zniszczenie osobistej godności człowieka. I ciągły strach, który skazywał na inną, konieczną samotność. Wystarczyło mieć czarne włosy i wydatny nos, aby przejście przez ulicę było ryzykiem wolności lub życia nawet.

Oczyszczenie. Czyż mogło ono iść z dnia na dzień tylko ku lepszej nadziei? Czy strach nie dawał nam znowu przeświadczenia, że jest jedyną prawdziwą kategorią ostateczności ludzkiej. I rósł z dnia na dzień. Działy się rzeczy straszne. Wyobraźnia zamykała wszystko w przeświadczeniu, że dla nikogo nie ma ratunku. Dwie rzeczy są na pewno prawdziwe: strach i śmierć. Heidegger miał rację, Schulz miał rację, Apollinaire miał rację. Robakiem teraz być, wkręcić się w ścianę, albo jeszcze lepiej już w ogóle nie być. Zasnąć i nie doczekać rana.

Przyszedł wreszcie sierpień 1944 roku. Po czterech dobach wyczekiwania zdobyłem się na to, żeby wyjść na dach i zobaczyć co się właściwie dzieje. Zobaczyłem samoloty z czarnymi krzyżami nad dachem, mężczyzn z podniesionymi rękami na ulicy Puławskiej. Szli zwartymi szeregami, konwojowani przez nielicznych esesowców. Szli pokornie szeregami na rzeź. Umierali bez satysfakcji ostatniego, przeciwstawnego czynu.

Po południu tego samego dnia i z mojego domu poszło znowu pięćdziesięciu mężczyzn w stronę Alei Szucha. Zostałem sam. I znowu przez cztery dni ukrywałem się już teraz inaczej, bezwzględnie skazany na śmierć. Z okna obserwowałem, jak się taką granicę przechodzi. Jak przechodzili ją moi sąsiedzi z ulicy Dworkowej. Szli schodkami w dół na Dolny Mokotów. Z tyłu tylko jeden żandarm i jeden karabin maszynowy. Setka ofiar na moich oczach. Czekałem na swoją kolej. Chciałem mieć śmierć własną, tak jak chciał ją sobie wyhodować Rilke. Ale u progu zrezygnowałem z samotności. Chciałem tylko jeszcze raz chociaż przez chwilę być między ludźmi. Na ulicy Belwederskiej prócz nieprzyjaciół byli jeszcze ludzie. Przerwać się przez kordon krzyżowego ognia. Wyszedłem z kryjówki. Wciągnąłem w piersi świeże powietrze. Ile go było — nie tylko dla mnie, ale i dla świszczących kul, które syczały obok mnie. Ten strach był inny, niż wszelkie dotychczasowe strachy. Nie było duszności.

Wreszcie przyszedł dzień pełnego wyzwolenia. Najpierw walka w powietrzu. Obserwowaliśmy ją — warszawiacy — stojąc na balkonie willi w Zalesiu. Nikt nie schodził do schronów, musieliśmy to widzieć. Dokonywała się pomsta za nas. Samoloty nad dachem nie miały już czarnych krzyży.

Na drugi dzień zobaczyliśmy po raz pierwszy nie w snach czołgi radzieckie i polskie wojsko. Biegliśmy jak dzieci, dotykając ludzi i rzeczy. Jest to realne? Było realne. Powietrze pachniało benzyną, mrozem, wolnością...

Świat jest tylko w wolności, wśród ludzi, w nadziei.

JAROMIR OCHĘDUSZKO

Nareszcie*)

Miasto żyło wiadomościami z frontu; w dniu tym większe niż zazwyczaj zebrały się tłumy wokół ulicznych głośników. Zastygli w milczeniu ludzie chwytali się każdego słowa, które mogło dać im — z tej także strony — potwierdzenie prawdy o szybkich postępach wojsk radzieckich w rejonie Warszawy.

Było parę minut przed godziną trzecią po południu. Zamknąłem sklep żony znajdujący się przy ulicy Mazowieckiej i decyzja: idziemy na obiad. W bramie domu nr 2/4 na placu Dąbrowskiego, którędy biegło przejście z ulicy Mazowieckiej, zostaliśmy zatrzymani. Stał tu cywil, który po sprawdzeniu dokumentów i przetrząśnięciu w poszukiwaniu broni kieszeni, zawracał wszystkich ludzi.

„Tu nie ma przejścia" — pada krótkie, lakoniczne zdanie.

Pierwsza myśl: łapanka, blokada domu. Wyjść stąd jak najszybciej! Przyśpieszamy kroku i zawracając z grupą innych ludzi kierujemy się z powrotem na ulicę Mazowiecką.

Niestety — tu to samo. W bramie domu taki sam cywil i podobne słowa. Wpuszcza się wszystkich, ale nikt nie ma już odwrotu. Nie pomagają tłumaczenia. Jakaś kobieta prosi, błaga, aby ją wypuszczono. Mieszka obok. Zostawiła w domu kilkutygodniowe dziecko. Jest sama. Mąż od pół roku gnije w Oświęcimiu. Pokazuje list. Nic nie pomaga. Wyjątków nie ma.

Ludzie biegają jak oszaleli. Nic dziwnego, była to pora, w której Warszawa pulsowała najintensywniejszym życiem i większość jej mieszkańców przebywała poza domem. A teraz każdy jak najprędzej, jak najśpieszniej pragnąłby być wśród swoich.

Co? Wyjścia nie ma?

Dlaczego? To niemożliwe!

Raz po raz dochodzi do ostrych starć. Padają brutalne słowa.

„Jeśli pan nie rozumie" — stojący przed bramą cywil odkrywa marynarkę i pokazuje rewolwer — „to, to pana na pewno przekona".

Jedno było pewne: znaleźliśmy się w potrzasku. Trzeba czekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Tymczasem na podwórkach i w bramach domów zbierają się grupki młodych mężczyzn. Twarze i ruchy pełne podniecenia i niepokoju, z roziskrzonych oczu tryska uśmiechnięta, niemal dziecięca radość ze szczęścia, do którego za chwilę mają przystąpić. Spod płaszczy wyziera groźne oko rewolweru lub „rozpylacza".

Są również kobiety. Każda z wypełnioną po brzegi teczką. Jednej z nich nieopatrznie teczka otwiera się: zwoje waty i bandaże. Powtarzam kilkakrotnie: wata i bandaże, wata i bandaże i w dziwnym skojarzeniu przesuwa się, jak w kalejdoskopie, oślepiający a bolesny korowód obław, Pawiaka i Oświęcimia, nocnych rewizji i ulicznych rozstrzeliwań, miesza się nieustannie ze sobą czas obecny i czas przeszły i przechodzi od jednej myśli do drugiej, coraz dalej, aż do końcowej prawdy, gdzie czeka odpłata i wybija godzina przeznaczeń.

Długa seria z „rozpylacza" oddana z bramy w ulicę Mazowiecką przerywa nagle tok rozmyślań. To historyczna seria; zamyka ona jeden i otwiera zarazem drugi, nowy rozdział historii Warszawy; stanowi jakby słup graniczny. Tam czas przeszły, upokorzenie i niewola i zaciskane z bólu zęby. Tu wprawdzie nieodgadniona przyszłość, ale nowe, wolne życie, namaszczone słowami: **Idź i czyń.** Poszli, zawierzyli tym słowom. Na rękach biało-czerwone opaski. W dłoni dymiący rewolwer. Konradowi żołnierze.

Ktoś przybiega już i melduje: Niemcy od strony poczty otworzyli gwałtowny ogień.

Krótki, żołnierski rozkaz: z bronią maszynową natychmiast do „Kawiarni Aktorek".

Była godzina czwarta piętnaście po południu. Nie ulega wątpliwości: zaczęło się. Ale czy przyszedł już właściwy czas? Aby nie zmarnować tylko tego świętego ognia i zapału! Nie zawieść ich zaufania! To podstawa siły i oporu społeczeństwa. Niech nie wiedzą w jakich skrytkach i komórkach ukrywa swoje brudy polityka.

Ale nic się już nie odstanie.

„Nareszcie" — szepce stojący w bramie żołnierz — „odprężenie... zbyt długo trzymaliśmy nerwy na uwięzi".

Schodzimy do schronu siedmiopiętrowego domu Philippsa. Zaczyna być gorąco. Na podwórze padają pierwsze odłamki granatu. Schron pęcznieje od zatrzymanych w przejściu, podobnie jak my, ludzi. Dużo kobiet z małymi dziećmi. Za chwilę wchodzi oficer i uspokaja:

„Proszę się nie denerwować. Najpóźniej jutro rano każdy spokojnie uda się do domu".

Zbliża się wieczór. Gwałtowność strzelaniny przesuwa się z okolic placu Napoleona do rejonu placu Małachowskiego. Mówią, że poczta padła. Trzeba jednak pomyśleć o noclegu. W domu tym nikogo nie znamy. Decydujemy się przesiedzieć na zmianę noc na węglu i na obok leżących polanach drzewa.

Noc była pełna niepokoju. Walka zaczęła się na dobre. Wyszedłem ze schronu. W okół czarna chusta nocy. Przyzwyczajam oczy do ciemności i widzę przesuwające się, przybyłe tu z innych ulic oddziały powstańców. Większość bez broni.

Dowódca oddziału melduje:

„Panie majorze, oddział pięćdziesięciu ludzi z grupy „Wiktora". Przybyliśmy z placu Grzybowskiego. Mamy dziesięć karabinów ręcznych i parę granatów. Skierowano nas tutaj po broń. Może tak przynajmniej jednego „Visa" dostaniemy".

„Niestety, zbywającej broni nie mamy" — brzmi krótka odpowiedź — „a ta, którą dysponujemy potrzebna jest do naszych operacyj".

Nagle przedziera się z oddali odgłos szybkich kroków. Ktoś biegnie i z ciemności wychyla się postać harcerza lat może piętnastu. Staje przed majorem na baczność:

„Łącznik „Żaba" z oddziału porucznika „Stanisława" melduje: budynek Prudentialu został przez nas opanowany."

„Potrzebujemy teraz skrzynki „filipinek", gdyż rozpoczęliśmy atak na pocztę."

Rozrywające noc, rzędem po sobie następujące wybuchy granatów potwierdzają prawdziwość słów tego meldunku.

A gdy uszczęśliwiony łącznik odszedł, zasłuchane i rozpromienione pierwszymi wiadomościami z frontu twarze oddziału z grupy „Wiktora" zdają się mówić, dławiąc w gardle okrzyk:

„Tego samego dokonamy, tylko dajcie nam broń, więcej broni!"

To wołanie będzie się powtarzało przez wszystkie dni powstania.

Dniało już. Wracam do schronu. Żona skulona siedzi na jakieiś pace i drzemie.

Śniadanie. Nie, myślimy tylko o wczorajszym śniadaniu. Bo w tej sytuacji, kto nie ma znajomych, ten nie je.

W ciągu dnia natężenie walk rośnie. Powoli orientuję się: znajdujemy się w kwadracie, zamkniętym ulicami Mazowiecką, Świętokrzyską, Jasną i Kredytową, który stanowi dla nas mocny punkt oparcia. W środku tkwi jak rodzynek żelbetonowy dom Philipsa. Serce i mózg akcji tego okręgu. Niemcy widocznie doskonale zdają sobie z tego sprawę, atakują go ostro, kierując szczególnie silny ogień z placu Napoleona, to znów przerzucając punkt ciężkości na plac Dąbrowskiego. Podjeżdżają jeden po drugim czołgi i wypluwają w naszą stronę porcję żelaza. Dom dygoce jak osika od podmuchu wybuchających czołgowych pocisków. A z góry, z powietrza, dochodzi świszczący szept rozmowy pocisków broni automatycznej. Krzywa tych rozmów raz rośnie, to znowu opada; to znowu przygłuszają ją basem wybuchy ręcznych granatów.

Nasi chłopcy trzymają się mocno. Broni automatycznej jest mało, dlatego ręczny karabin maszynowy wędruje zależnie od potrzeby z jednego boku kwadratu na drugi. Szczęśliwy jego posiadacz, podchorąży o pięknie rzeźbionych rysach, jasnej czuprynie spadającej na czoło, dokazuje cudów odwagi. To on, dziś nad ranem, serią strzałów unieszkodliwił załogę jednego z bunkrów przy poczcie. Dzięki temu oddziały nasze wdarły się do poczty i podkopem opanowały resztę bunkrów. Od dziś poczta jest w naszych rękach.

Wkrótce dowiadujemy się, że padł również na ulicy Kredytowej Urząd Pracy.

I pierwsi jeńcy. Prowadzą sześciu żołnierzy Wehrmachtu, załogę bunkru przy poczcie. Głowy obandażowane, twarze pokryte długą sierścią zarostu; jednemu z nich krwawi rana na szyi. Prowadzą ich do punktu sanitarnego, gdzie młodzi lekarze mają pełne ręce roboty. Wyczerpani słaniają się.

„Setzen Sie sich" — mówi ostro eskortujący żołnierz i podsuwa im krzesła.

I pierwszy gestapowiec. Z rękami podniesionymi do góry, bez marynarki, małego wzrostu, niedawno butne, teraz wystraszone oczy nerwowo biegają wokoło; prowadzą go od strony ulicy Mazowieckiej. On jeden ocalał z załogi urzędu pracy; reszta zginęła.

W czasie badań przyznaje się, że wiedział o terminie wybuchu powstania, o czym zakomunikował w Alei Szucha.

Pierwsze ulotki. Samoloty. Słychać daleki, głuchy warkot silników. Zbliżają się. Poznajemy: Stukasy. Długo krążą nad naszymi pozycjami, wreszcie zniżają się i spod skrzydeł jak białe gołębie rozsypują ulotki.

Chwytamy je szybko. Ulotka jest wezwaniem do poddania się, inaczej bomby lotnicze zrównają z ziemią każdy punkt oporu. Podpisano: Gen. SS. von dem Bach.

„Ulotki świadczą tylko o słabości Niemców" — objaśnia natychmiast jakiś oficer.

„A ponadto" — dodaje — „Niemcy nie mają samolotów, a to, czym dysponują, potrzebne jest im do obsługi frontu, który od rana daje znać o sobie huraganowym ogniem artylerii".

„Zresztą czołówki sowieckie pokazały się już na moście Poniatowskiego".

Czołówki sowieckie na moście Poniatowskiego!

Cóż wobec tego zrobią nam samoloty niemieckie?

Tak, to prawda niezbita: Warszawa od pierwszych godzin powstania liczyła się z tym, że działania te uzgodnione zostały z dowództwem sowieckim. Obca była jej owa wyższa matematyka polityczna i wojskowa tych głowaczy, którzy sądzili, że w chytrości nikt im nie dorówna. Nie orientowała się stolica w swych szerokich masach, że ostateczne saldo tego krwawego rachunku miało być skierowane przeciwko tym, którzy — w wypadku uzgodnienia działań — jedynie mogli dać jej pełną pomoc. Nie orientowała się Warszawa, że potoki krwi, które obficie zraszały jej podwórza i ulice, lały się w próżni wojskowej i politycznej. „Warszawa niepodległość wywalczy sobie sama". A wtedy wiadomo, że nawet te kilka samolotów niemieckich mogło dokonać olbrzymiego dzieła zniszczenia stolicy.

Następne dni przekonały nas o tej prawdzie.

Rzecz jasna, ulotki pozostały bez odpowiedzi. W ciągu dnia kilka razy przypominały nam ich treść Stukasy, zasypujące nas z lotu zniżonego ogniem broni pokładowej. Budynek Philippsa był ich głównym celem. Wyglądał już jak sito. Przebywanie w mieszkaniach w tych warunkach było rzeczą niemożliwą. Schron stale napchany był ludźmi. Ani szpilki włożyć. I tego dnia (a był to już czwarty dzień powstania) zwarta masa ludzi omal nie przelała się poza jego brzegi. Przed chwilą właśnie otrzymaliśmy swoją dzienną daninę żelastwa.

W schronie atmosfera grozi wybuchem histerii. Kobiety uklękły i półgłosem śpiewają litanię. Obok grupa mężczyzn obficie raczy się wódką. Padają grube dowcipy. Wchodzi do schronu podoficer i ostrzega, aby nie palić, gdyż odbywa się w tej chwili próba z miotaczem ognia i dom może wylecieć w powietrze. Ktoś płacze spazmatycznie.

Nie, dłuższy pobyt jest tu niemożliwy! Jakaś instynktowna siła wypędza nas ze schronu.

Oddychamy swobodniej: świeże powietrze. Wskazówka zegara zbliża się do godziny czwartej. Decydujemy się: cel, ulica Zgoda 12,

*) Rozdział z książki o powstaniu warszawskim „W moich oczach".

dom Gebethnera i Wolffa. Przynajmniej coś zjeść, tam są znajomi. Długim korytarzem połączonych piwnic posuwamy się wzdłuż Jasnej i dobijamy do rogu Świętokrzyskiej. Teraz legitymowanie. I równocześnie nalot. Bomby walą obok. Stary dom trzęsie się w posadach, podmuch powietrza rzuca nas od jednej ściany piwnicy na drugą, tańczymy, jak pływak wędki na wzburzonej wodzie. Koniec.

Wdaję się w rozmowę z księdzem kapelanem. Pyta o moje miejsce zamieszkania: ulica Słupecka — odpowiadam — i udaję się na ulicę Zgoda.

Nie wiedziałem, że ów sługa boży spełniał funkcję policjanta. Poczciwy księżunio zwąchał, że coś nie jest w porządku. Mieszkam tu, a udaję się gdzieindziej. Tego głowa jego nie mogła pomieścić. Więc — podejrzany, może nawet szpieg?

Żołnierz. I już prowadzą nas pod grozą rewolweru do szczegółowego sprawdzenia dokumentów: druga strona ulicy Jasnej, mały, ładny, jednopiętrowy domek, własność, zdaje się, klubu szachistów. Czekamy na przesłuchanie. Po pokoju kręci się pięciu znudzonych urzędników, jeden rozwalony na kanapie próbuje zasnąć. Prosimy o pośpiech. Ale osoba urzędowa, która sprawdza dokumenty, zajęta jest w tej chwili „ważnymi" państwowymi sprawami. Przeżywamy nalot. Dopiero po upływie godziny odbierają nasze karty rozpoznawcze. Nareszcie! Ale wpierw drugi nalot: jedenaście Stukasów. Okładają bombami, jedna po drugiej, ulicę Jasną. Oficyna naszego domu pali się; wychodzimy z pralni, gdzie mieści się schron, brudni od sadzy i ceglanego pyłu.

Nadciąga wieczór. Nie, nerwy dłużej nie wytrzymają; domagamy się ostro i stanowczo natychmiastowego sprawdzenia dokumentów. I to pomaga. Prowadzą nas do piwnicy obok położonego domu; tu przyjmuje się teraz wszystkich „podejrzanych", albowiem dotychczasowe miejsce udręki znudzonych urzędników po ostatnim nalocie zostało całkowicie zniszczone.

Piwnicę oświetla dogorywająca, mrugająca nieustannie świeczka. W środku stoi osoba niskiego wzrostu... pewnie wysoki urzędnik. W ręku trzyma kilka kart rozpoznawczych, które po sprawdzeniu identyczności fotografii, szybko zwraca ofiarom swojego urzędowania. Na ten krótki proceder potrzeba było aż trzy godziny czasu.

Kręte schody, zawalona piwnica i znowu jesteśmy na wierzchu.

Nareszcie ulica — a na ulicy — a na ulicy, oczom nie wierzę, potworny obraz zniszczenia. Jezdnia zawalona gruzami cegieł. Połamane krzesła, stoły, powykręcane w precle rondle, garnki. W hotelu „Victoria" bomba skosiła dwa piętra. Dalej, trafiony bombą w środek, parterowy domek bezradnie rozłożył ramiona swych ścian na ulicę. Prawie ciemno. W powietrzu unosi się gryzący, wciskający się we wszystkie pory ciała, w oczy, nos i uszy pył z potłuczonych cegieł. Po gruzach na wysokości piętra, krok za krokiem, ostrożnie, posuwamy się w stronę ulicy Świętokrzyskiej. A teraz uwaga. Szybko przez ulicę Świętokrzyską, albowiem wzdłuż niej strzelają ostro Niemcy usadowieni w „Paście" na ulicy Zielnej.

Oglądam się jeszcze raz poza siebie; przejaśnia się. Cały odcinek Jasnej między Świętokrzyską i placem Dąbrowskiego leży w gruzach.

„Niemcy nie mają samolotów" — powtarzam słowa owego oficera.

Jaromir Ochęduszko

KRONIKA

W **marcu** minęło 50 lat od dnia śmierci wybitnego pisarza rosyjskiego Mikołaja Leskowa. W Państwowym Muzeum Literackim odbyła się wystawa, poświęcona jego pamięci.

„Ojcowski dom". Taki jest tytuł nowej sztuki W. Katajewa, wystawionej w Moskiewskim Teatrze Dramatycznym, zaczerpniętej z aktualnej tematyki wojennej. Krytyka rosyjska oceniła tę sztukę na ogół negatywnie, zarzucając jej niewielką wartość artystyczną.

Wiaczesław Szyszkow, popularny pisarz rosyjski, zmarł w marcu br. w 72 roku życia. Szyszkow jest autorem powieści „Tajga", „Wataha", „Jezioro Peipus", „Dumna rodzina", „Emilian Pugaczew".

Film o krymskiej konferencji w Jałcie ukazał się na ekranach Związku Radzieckiego. Zdjęć dokonano pod kierownictwem Sergiusza Gerasimowa.

Szekspir na ekranie. Oprócz filmów wojennych w Anglii powstało wiele filmów historycznych. Najbardziej popularny jest film „Henryk V", wedle dramatu Szekspira. Reżyserem filmu i wykonawcą roli tytułowej jest znany aktor Laurence Olivier. Główną rolę kobiecą odtwarza René Acherton. Ilustracja muzyczna Wiliama Moltona. Film rozpoczyna się od przedstawienia sztuki Szekspira „Henryk V" w „Globe-Theater" w Londynie w roku 1600. Treścią następnych scen jest wyprawa króla Henryka do Francji i zwycięska bitwa pod Azincourt. Film kończy się weselem Henryka V i księżniczki Katarzyny francuskiej.

Przemysł a sztuka. Pod tym tytułem wygłosił w Londynie odczyt krytyk sztuki Herbert Reed. Prelegent stwierdził, że nie tylko przemysłowe wyroby artystyczne, ale cała dzisiejsza użytkowa twórczość artystyczna cierpi z powodu zignorowania dwu naczelnych zasad dobrego smaku: celowości funkcyjnej i uszanowania użytego materiału.

Do utworu Czesława Miłosza pt. „Kawiarnia" (nr 16 „Odrodzenia") zakradł się błąd zecerski. Wyraz „stulecia" przesunięty został o linię wyżej. Odnośny wiersz ma brzmieć następująco: **„Mogę doświadczyć smaku owoców z wysp oceanu I mieć swoją fotografię w stroju z drugiej połowy stulecia".**

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Ikar

Istnieje pewien obraz Breughla, zatytułowany „Ikar". Kiedy się na ten obraz patrzy, spostrzega się chłopa orzącego ziemię na wysokim brzegu morza, pastucha pasącego obojętnie swoje stado, wędkarza, który wyciąga z morza swoje wędki, miasto spokojne w oddali. Morzem płynie statek z rozwiniętymi żaglami, a na jego pokładzie kupcy rozmawiają o interesach. Słowem, widzimy życie z jego codziennymi troskami i codziennym natężeniem zwykłych ludzkich zajęć i kłopotów. Gdzież jest Ikar? Gdzież ten, który usiłował wylecieć w słońce? I dopiero kiedy dobrze przyjrzymy się obrazowi, w pewnym kącie morza spostrzegamy dwie nogi wyzierające z wody i parę piór w powietrzu nad wodą lecących, wyszarpniętych siłą upadku z przemyślnie skonstruowanych skrzydeł. Przed chwilą nastąpił upadek Ikara. Śmiałek, który przyprawił sobie skrzydła, — podług greckiej legendy — wzniósł się wysoko, tak wysoko, że znalazł się w pobliżu słońca. Promienie słoneczne stopiły wosk, którym przymocował sobie rzędy piór do skrzydeł i młodzieniec spadł. Dopełniła się tragedia, oto właśnie tonie i zanurza się w morzu, ale ludzie tego nie zauważyli. Ani chłop, orzący ziemię, ani kupiec płynący w dal, ani gapiący się na niebo pasterz — nikt nie spostrzegł śmierci Ikara. Jeden tylko poeta czy malarz ujrzał tę śmierć i przekazał ją potomności.

Obraz ten przypomina mi się zawsze, ilekroć pomyślę o pewnym moim przeżyciu. Był to czerwiec roku 1942 czy 1943-go. Piękny letni wieczór zapadał nad Warszawą, różowe blaski rzucały ozdobne cienie na zniszczone mury, a gwałtowny ruch wszystkich, dążących do domów, śpieszących przed policyjną godziną, aby dostać się do tramwaju, przykrywał tłumem cywilnych ubrań, rzadkie już o tej chwili mundury. Gdy się patrzyło w tym momencie na ulice Warszawy, ożywione i piękne czerwcową pogodą, przez chwilę wydawać się mogło, że miasto wolne jest od okupanta. Przez chwilę...

Stałem na rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia, na przystanku tramwajowym. Tramwaje dźwięcznie dzwoniące szeregowały się jedne za drugimi swoimi czerwonymi cielskami, wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia. Ludzie tłoczyli się do nich gromadami, wieszali na stopniach, czepiali zderzaków, gronami zwisali z tyłu i z boków. Od czasu do czasu przemykało czerwone „zero", przeznaczone tylko dla Niemców, więc pustawe. Musiałem dość długo czekać na jakiś wóz, do którego można się było łatwiej dostać. A kiedy już nadszedł taki, nie chciało mi się wsiąść do niego, zasmakowałem nagle w tym tłumie, który mnie otaczał, obojętnie przyjmując do świadomości moje istnienie. Przede mną wysoko stał na swoim cokole Mickiewicz, naokoło pomnika skromne kwiaty, kwitły jednakże i pachniały, samochody skręcały ze zgrzytem przed kościołem Karmelitów, chłopcy sprzedawali gazety, wykrzykując głośno, handlarze papierosów, ciastek, roili się przed połyskującym sklepem Henneberga, z hałasem zasuwano żaluzje i zaciągano kraty na drzwiach i oknach magazynów, w ogródku Hoovera zapełnionym do ostatnich miejsc na ławkach przez starych i młodych, ćwierkały wróble, równie gęsto osadzone po wątłych drzewinach, — wszystko to zanurzało się powoli w niebieskim mroku letniego wieczoru. W tej chwili słyszałem bijące serce Warszawy i mimowoli ociągałem się wśród ludzi, aby jeszcze trochę pobyć z nimi razem i razem z nimi odczuwać ten miejski letni wieczór.

Gwar panował i rozruch, a każdy był tak sobą i swoimi troskami zajęty, że mimowoli odczuwało się samotność zgubionego w tłumie człowieka.

W pewnej chwili spostrzegłem młodego chłopca, który idąc gdzieś od Bednarskiej dość nierozważnie wysunął się zza czerwonego kadłuba tramwaju, który już ruszał, i stanąwszy twarzą do jezdni a plecami do ruchu, na małej wysepce w dalszym ciągu nie odrywał oczu od książki, z którą razem wynurzył się z szarzejącego zmroku. Miał lat piętnaście, szesnaście najwyżej. Czytając od czasu do czasu wstrząsał płową czupryną, odgarniając włosy, które mu spadały na czoło. Jedna książka sterczała mu z bocznej kieszeni, drugą złożoną trzymał przed oczami, najwidoczniej nie mogąc się od niej oderwać. Zdobył ją zapewne przed chwilą od jakiegoś kolegi, czy też w tajnej wypożyczalni, i nie czekając na powrót do domu, chciał się z jej treścią zaznajomić na gorąco, na ulicy. Żałowałem, że nie wiedziałem, jaka to była książka, z daleka wyglądała na podręcznik, ale chyba żaden podręcznik nie budził w młodzieńcu takiego zainteresowania. Może były to wiersze? Może jakaś książka ekonomiczna? Nie wiem.

Chłopak przez chwilę stał na wysepce, pogrążony w czytaniu. Nie uważał na potrącanie, na cisnący się do wagonów tłum. Parę czerwonych smug przeminęło za nim, on wciąż nie odrywał oczu od książki. I wciąż z tą książką pod nosem — czy to, że znudziły go potrącania i krzyki wokoło, czy też nagle podświadomie uczuł potrzebę pośpiechu do domu — widziałem, że stąpnął z wysepki na jezdnię — wprost pod nadjeżdżający samochód.

Rozległ się zgrzyt gwałtownie naciśniętych hamulców i gwizd gum na asfalcie, samochód unikając przejechania chłopca skręcił gwałtownie w bok i zatrzymał się nagle przed samym rogiem Trębackiej. Z przerażeniem spostrzegłem, że była to karetka gestapo. Młodzieniec z książką usiłował wyminąć samochód. Ale w tym samym momencie z tyłu karetki otworzyły się drzwiczki i dwóch osobników w hełmach, z trupimi główkami, wyskoczyło na jezdnię. Znaleźli się tuż obok chłopca. Jeden z nich krzyczał gardłowym głosem, drugi okrągłym ruchem ręki, z szyderstwem zaprosił go do środka.

Do dziś dnia widzę młodzieńca, jak stoi u drzwiczek karety, zażenowany, po prostu zawstydzony... Jak wzbrania się przeczącym, naiwnym ruchem głowy, jak dziecko, które obiecuje, że już nigdy więcej nie będzie... „Ja nic nie zrobiłem" — zdawało się mówił — „ja tylko tak..." Wskazywał na książkę, jako na przyczynę swojej nieuwagi. Jak gdyby tutaj można było coś wytłumaczyć. Nie chciał wejść do karetki ostatnim odruchem traconego życia.

Żandarm zażądał od niego papierów, porwał wyjętą „kennkartę" i gwałtownym ruchem popchnął chłopca do środka. Drugi mu pomógł, chłopiec wsiadł, za nim gestapowcy, drzwiczki trzasnęły i karetka pędem poszła się z miejsca szybkim tempem skierowała się w stronę Alei Szucha...

Zniknęła mi z oczu. Obejrzałem się dokoła, szukając jeszcze u kogoś zrozumienia, współczucia dla tego, co się tutaj zdarzyło. Przecież młodzieniec z książką zginął. Z najwyższym zdumieniem spostrzegłem, że nikt tego zdarzenia nie zauważył. Wszystko co opisałem odbyło się tak szybko, tak błyskawicznie, każdy z tłumu na ulicy tak był zajęty swoim pośpiechem, że porwanie młodzieńca przeszło niepostrzeżenie. Panie stojące tuż przy mnie spierały się, którym numerem tramwaju będzie im wygodniej jechać, dwóch jegomościów za słupkiem tramwajowym zapalało papierosy, baba przy koszu ustawionym pod ścianą powtarzała bez przerwy swoje: „cytryn, cytryn, cytryn ładnych", jak buddyjskie zaklęcie, a inni młodzi chłopcy biegli przez ulicę za odchodzącymi wagonami, ryzykując dostanie się pod inne samochody... Mickiewicz stał spokojnie i kwiaty pachniały i brzózki i jarzębiny obok pomnika poruszały się od lekkiego wiatru, zniknięcie tego człowieka nie znaczyło nic dla nikogo. Ja jeden zauważyłem, że Ikar utonął.

Stałem jeszcze długo na miejscu, czekając aż tłum zrzednie. Myślałem, że może Michaś — tak go sobie w myślach nazwałem — powróci. Wyobrażałem sobie jego dom, rodziców oczekujących na jego powrót, matkę przygotowującą wieczerzę, i w głowie mi się pomieścić nie chciało, że oni nigdy nie dowiedzą się, jakim sposobem zginął ich syn. Nie przypuszczałem, znając zwyczaje naszych okupantów, aby się mógł wyrwać z tych pazurów. A wpadł w tak głupi sposób! Bezmyślne okrucieństwo tego porwania poruszyło mnie do głębi, porusza jeszcze do dziś dnia. Przez książkę czytaną na ulicy.

Ci co zginęli w walce, ci co wiedzieli za co giną, mieli może w tym pociechę, że śmierć ich ma jakiś sens. Ale iluż było takich jak mój Ikar, co tonęli w morzu zapomnienia z błahego, okrutnego w swej bezmyślności powodu.

Wieczór nadszedł, miasto usypiało gorączkowym, niezdrowym snem... Ruszyłem wreszcie spod mojego słupa, minąłem pomnik Mickiewicza, poszedłem do domu pechotą... A w myśli wciąż prześladował mnie obraz „Michasia", kręcącego głową, jak gdyby powiadał: „nie, nie, to tylko ta książka temu winna... już teraz będę uważał..."

Po prostu

Przewodnik po krainie idylli

Na rok mniej więcej przed powstaniem ukazała się w Warszawie książka R. Jadźwinga **„Skąd i dokąd idziemy.** Przewodnik po zagadnieniach kultury współczesnej". Jeżeli dziś do niej wracam, to nie tylko dlatego, że była to najszerzej zakrojona, najbardziej ambitna, krótko: najpoważniejsza z książek wydanych konspiracyjnie. Książka Jadźwinga ma jeszcze inne, ważniejsze znaczenie, jest najbardziej charakterystycznym i wymownym dokumentem **stylu myślenia** poważnego odłamu polskich intelektualistów w czasach okupacji.

Zacznijmy od spraw najłatwiejszych. Metoda Jadźwinga polega na analizie najważniejszych prądów duchowych i społecznych, jakie kształtowały kulturę europejską począwszy od średniowiecza aż do chwili obecnej. W każdym z owych prądów autor wykrywa złe i dobre pierwiastki, złe — twierdzi — należy odrzucić, dobre — przyjąć. W ten cudownie prosty sposób tworzenie nowej ideologii kulturalnej utożsamione zostało z układaniem karty potraw na jakieś wspaniałe międzynarodowe przyjęcie w ambasadzie czy ministerstwie. Każda narodowa kuchnia ma swoje smakołyki, należy je tylko umiejętnie dobrać i zestawić, a obiad nie będzie miał sobie równych. Ma swoje zalety demokracja, ma swoje zalety i totalizm. Nie jest najgorszy socjalizm, a i w faszyzmie znajdzie się wiele rzeczy nie do pogardzenia. Dobry jest syndykalizm i racjonalizm, dobry tomizm i solidaryzm. Posłuchajmy: „Totalizm trafnie wyczuwa palące potrzeby naszych czasów, odrodzenie wspólnoty, hierarchizm obowiązków..." Z liberalizmu przejąć należy „wartość jednostki i wolności, szacunek i wiarę w człowieka". W socjalizmie i syndykalizmie „cenne są idee pracy i twórczości", w demokracji „idee współdziałania i odpowiedzialności samorządowej". Mamy już kawior rosyjski, polski barszcz z uszkami i francuską sałatkę w majonezie. Teraz kolej na wyśmienite spaghetti włoskie i angielski pudding. „Życie wymaga więcej świadomego kierownictwa, niż chcą to widzieć obrońcy swobody...", ale oczywiście „i kierownictwo kryje w sobie niebezpieczeństwa..." I jeszcze: „Cenić organizację, nie znaczy to przekreślać rolę jednostki, cenić aktywność można i wtedy, gdy się porzuci zasady pragmatyzmu".

Odrobina trzeźwości intelektualnej i upodobanie do złotego środka pozwala, jak widzimy, uniknąć wszystkich błędów. „Nie jest bowiem możliwe, ani nawet pożądane, wyrzeczenie się nowoczesnych form życia, jak tego żądają tradycyjni sentymentaliści. Ale również niesłuszne jest żądanie racjonalistycznych modernistów, aby wytrzebić z duszy człowieka wszystko, co nie godzi się z tym światem w jego obecnych formach. Mają rację pierwsi, gdy bronią praw człowieka do pełni i różnorodności duchowych przeżyć, i mają rację drudzy, gdy bronią wartości nowoczesnych narzędzi działania".

Wszystko zrozumieć jest to widocznie wszystko ze sobą pogodzić. Walka racjonalizmu z prądami irracjonalistycznymi, jaka targała życiem duchowym Europy w dwudziestoleciu międzywojennym, była, jak widać, oczywistym nieporozumieniem. Wystarczyło bowiem przejąć z racjonalizmu „uznanie rzeczywistości praktycznej i urok technicznego panowania nad rzeczami", aby potem spokojnie pożeglować „ku irracjonalizmowi, w którym w sposób osobisty i wstrząsający jawią się niezłomne prawa człowieczego istnienia". Przy dobrej woli dokonać można jeszcze rzeczy znacznie trudniejszych i w jednym zdaniu rozwiązać wiekowy spór aktualizmu z historyzmem: „Wystarczy uznać teraźniejszość jako ważną instancję sądzenia, w jakiej mierze doskonałość i wieczność, chwycone zostaną w zmiennych okolicznościach chwili". „Cacy, cacy — Fundusz Pracy" — jak mawiał w takich wypadkach świetny satyryk Tadzio Wittlin. Nic nie jest zdolne zamącić doskonałej pogody ducha p. Jadźwinga w jego podróży po krainie idylli. Nie widzi najmniejszych trudności, aby „uczynić kulturę duchową szerszą i bezpośrednią, ale związaną z tradycją, powszechną i wspólną, ale różnorodną, krążącą łatwo i sprawnie, a przecież głęboką". Aby złączyć „zasadę inicjatywy jednostkowej z prawem działania zespołowego, prawo własności z określonym obowiązkiem powinności społecznych, wymagania produkcji z obroną pełni rozwoju duchowego..."

Dość cytat i dość żartów. Pomówmy poważnie! Niezmiernie rzadki dar godzenia ze sobą wszystkich sprzeczności trudno jest przypisywać jedynie wrodzonej dobroduszności charakteru p. Jadźwinga. Chodzi o sprawy trudniejsze i bardziej istotne. Chodzi o **metodę.** Dla autora książki nie istnieje zupełnie obiektywny świat kultury, nie istnieje konkretna, historyczna rzeczywistość społeczna. W „Przewodniku po zagadnieniach kultury współczesnej" nie natrafiamy niemal ani na jedno zdanie, poświęcone jakimkolwiek problemom życia społecznego. W idyllicznej krainie, jaką jest dla Jadźwinga dziedzina kultury, nie istnieją kryzysy gospodarcze, bezrobocie, strajki i analfabetyzm, ba więcej! nie istnieją szkoły, czytelnictwo, biblioteki, domy ludowe. Nie istnieje, mówiąc po prostu, świat zewnętrzny, świat faktów społecznych. Przemiany świadomości, a więc ostatecznie przeżycia psychiczne są „jedyną, najgłębszą tajemnicą bytu". Nawet wtedy, kiedy Jadźwing analizuje wyjątkowo procesy społeczne i gospodarcze, dematerializują się one, jak pod działaniem czarodziejskiej różdżki i przeistaczają, jak u naszych powieściopisarzy, w dramat... postaw moralnych. Oto np. przechodzenie kapitalizmu przemysłowego w finansowy utożsamione zostaje z „przemianą postawy osobistej pracowitości i płodności ekonomicznej w pragnienie łatwego, choć ryzykownego zysku spekulacyjnego".

Chwilami zdaje się nam, że z owych topieli frazeologii wychodzimy na jakiś stały grunt i że wreszcie będziemy mogli zacząć spierać się o fakty. Złudzenie! Nawet kapitalistyczna własność, a więc zjawisko proste, konkretne i uchwytne przemienia się nagle w jakieś dziwne **mistyczne posiadanie**, które „tym się różni od własności, będącej źródłem zysku, iż przedmiot jej, sam w sobie, a nie z racji skutków, staje się przedmiotem ludzkiej miłości. W ten sposób posiadanie przestaje być narzędziem własnego majątku, staje się natomiast rozszerzaniem zasięgu własnej osoby, wymagającym głębszego zaangażowania". Proste, jasne i prawdziwe!

Dla Jadźwinga istotą przemian ideologii kulturalnych, istotą przemian społecznych są zmiany duchowego życia człowieka, przemiany jego świadomości. Ale oto kiedy się bliżej przyjrzeć tym przemianom świadomości, okazuje się, że są one jedynie odmienną interpretacją tego co istnieje, odmiennym przeżywaniem tej samej rzeczywistości. Jadźwing podobnie jak Brzozowski nie uczy ani poprawnie myśleć, ani celowo działać, uczy jedynie **doświadczać i przeżywać rzeczywistość.** A od tego, jak wiemy, jeszcze nigdy żadna rzeczywistość nie uległa zmianie.

Na każdej niemal stronicy książki Jadźwinga mowa jest o „wiecznych koniecznośćiach humanistyczno-metafizycznych". Musimy sobie uświadomić, co oznacza, a raczej co ukrywa ta terminologia, kiedy ją przetłumaczyć na jakiś bardziej zrozumiały język rzeczywistych dążeń społecznych. „Pragniemy nawrócić — pisze autor — do dawnych zapatrywań, według których ludzkie prawa są tylko wyrazem niewzruszonych zasad moralnego ładu zobowiązujących człowieka do określonego sposobu postępowania. Przejawia się to w **obyczajach**, konkretnie praktykowanych przez jednostki i zbiorowość. **Siła obyczajów** jest podstawą **obowiązkowości i czci dla autorytetu.** Jest również podstawą **więzi i spólnoty."** (Podkreślenia moje). Nareszcie wszystko stało się jasne. „Metafizyczna wartość ludzkiej osobowości", która powinna stanowić granicę rozwoju społecznego, to po prostu... panująca mieszczańska obyczajowość.

I teraz dopiero zrozumiała staje się niechęć Jadźwinga do wszelkiego racjonalnego planowania w kulturze i gospodarce społecznej. Teraz dopiero rozumiemy „niebezpieczeństwa, umiarkowanego rozgrzeszania zakresu wiedzy." Jadźwing pragnie nas bowiem wyzwolić „z sideł posiadania, władzy i wiedzy". Muszę, niestety, stwierdzić, że się spóźnił. Z sideł posiadania władzy i wiedzy wyzwolił nas bowiem w sposób doskonały przez długie pięć lat sam Hitler. Z sideł działania na szczęście nie udało się dotąd nikomu nas wyzwolić.

I dlatego wątpię, abyśmy posłuchali moralnej nauki autora, właściwie dwóch nauk, jednej dla bogatych, drugiej dla biednych. Bogatym radzi bowiem Jadźwing — „kształtować własną osobowość i pogłębiać własne życie duchowe". Dla biednych program jest skromniejszy, powinni oni uczyć się „zasad powściągliwości i pokory, które ograniczają przesadne ambicje i ekspansywność".

Pisze Jadźwing o Polsce, że „jakiekolwiek były nasze błędy w życiu, nie pobłądziliśmy nigdy w myśli". Niestety, pobłądziliśmy, i to wiele, wiele razy.

Jan Kott

Śmierć Kassandrze

Klasycznym sposobem walki piórem jest tworzenie „zbitek" problemowych, w których umieszcza się zjawiska najzupełniej różne i wywodzące się z różnych przyczyn, wmawiając w czytelnika, że jest to jedno zjawisko. Tego sposobu użył Kott w swoim artykule „O katastrofizmie" („Odrodzenie" nr 18). Jednym tchem zacytował Spenglera, freudyzm, irracjonalizm bergsonowski, metafizykę Heideggera, średniowiecze Bierdiajewa i atmosferę maligny w poezji, podciągając to pod wspólne miano katastrofizmu.

Odnoszę się z dość dużym obrzydzeniem do tych prądów niedawnej przeszłości. Czy to znaczy jednak, że mam je uznać za jedną sprawę? Dziecko na wszystko, co mu się nie podoba, ma jedno określenie: „be". Nie widać powodu, dla którego mielibyśmy naśladować dziecko i zubożać nasze narzędzia języka.

Zastanówmy się chwilę. Co nazywamy katastrofizmem? Skoro już chcemy użyć tego słowa powiedzmy, że katastrofizm jest to taki kierunek myśli, u którego podstawy tkwi przekonanie, że ludzkość znajduje się w obliczu katastrofy.

Był katastrofistą Spengler, kiedy dowodził, że cykl cywilizacji europejskiej dobiega kresu. Reprezentował fantastyczną historiozofię, w której lubowała się arystokracja niemiecka.

Natomiast rozwój kierunków irracjonalnych w teorii poznania nie miał nic wspólnego z przewidywaniem jakichś przykrych następstw. Przeciwnie, był to dziki taniec entuzjazmu i optymizmu. Obalanie rozumu odbywało się wśród pląsów i wiwatów na cześć „nagiego życia", „elan vital" i sił utajonych w „subliminal self". Wierzono, że wyzwalając ukryte w człowieku siły, apelując do nowych pozarozumowych środków poznania otwiera się wrota najwspanialszej epoce. Ślepy optymizm na przekór faktom, upojenie żywiołem życia, witalizm — to była barwa lat po tamtej wojnie. Pierwsze dziesięciolecie upłynęło wśród radosnego kwiku. Narastające ruchy faszystowskie czerpały w ciągu całych lat dwudziestu pełną garścią z filozofii nieskrępowanego rozrostu. „Skok i pięść" wielbił Marinetti, pragmatyzm James'a patronował narodzinom futuryzmu i włoskiego faszyzmu, używano do tych celów i Nietzschego i Bergsona. Zwątpienie w logiczny bieg wydarzeń dziejowych nie odbierało bynajmniej pogody, skoro istniała logika „wyższa", biologiczna czy mitologiczna. Przy pomocy tej „wiedzy radosnej" kaptowano tłumy wyznawców, przebierając ich w kolorowe koszule, a potem w mundury. Nie lubiano puszczyków. A takie puszczyki były. U nas, w Polsce, Zdziechowski i St. Ign. Witkiewicz. Ponure proroctwa Witkiewicza opierały się jednak właśnie na negatywnej ocenie panujących kierunków irracjonalnych — choć równocześnie stosował do historii błędną metodę, zbliżoną do metody Spenglera. Zdziechowskiego i Witkiewicza, dwie różne indywidualności, dwa pokolenia, łączyło to, że obaj byli zupełnie na marginesie, że byli puszczykami in partibus infidelium. Depcąc po nich, jako po dwóch dziwadłach przeszłości, walił naprzód pochód krzepkich zwolenników entuzjazmu, którym ani w głowie były jakieś tam katastrofy czy klęski.

Pamięć ludzka jest krótka. Zapomina się, jak powstał w Europie katastrofizm nr 2, wyrażający się przede wszystkim w poezji i jaką odegrał rolę. Kiedy i u nas i gdzie indziej wołano „byczo jest" — poezja przepowiadała zagładę sal balowych, cylindrów, nożyc do przecinania wstęg i wygodnych pulmanowskich wagonów. Tak, wieściła zagładę — a mieszczuchy wzruszały ramionami i pokazywały palcem na czoło. To była poezja miazmatyczna, przykra, rozkładowa, ciemna, niezrozumiała. Zgoda. Ale była to poezja, która psuła rachunki tym wszystkim, co chcieli rzeczywistość załgać, upiększyć, zakryć wieńcami i sztandarami. Kiedy ktoś krzyczy: pali się, wychodzi to nieraz histerycznie, za grubo albo za cienko, a nawet śmiesznie. Ale krzyczy — i nauczyciel śpiewu, który zechce go krytykować, nie ma racji.

Kiedy już się stało, przychodzą krytycy i mówią: żadna to była zasługa tak wołać, wszyscy to doskonale wiedzieli. Ejże. Na pewno? Tych wiedzących zawsze jest znacznie więcej po fakcie, niż przed faktem.

Nie, nie wstydzę się, że byłem katastrofistą i że w formie nieraz splątanej, niejasnej wypowiadałem strach przed zagładą. Nie wstydzę się strachu. Bałem się. Bałem się tego co nadejdzie. Popełniałem wiele głupstw, ale nigdy nie żyłem pogodną głupotą polskiej inteligencji.

To napisałem w marcu 1935 roku:

„Zamknij okno, tam idą germańskie Junony
I skaczą w moje rzeki, senne tonie burzą
Gdzie przedtem tylko rybak nad siecią niedużą
Stał w czajek i jaskółek goniących się kole.
Czarne wojenne wozy zorały pastwiska
Lecą ognie chorągwi, aż czerwono błyska
Ściana nad łóżkiem, szklanki dygocą na stole."

Zostawmy jednak sprawy osobiste. Kott powiada pod adresem poetów katastrofistów: „Rozkładali proste obrazy, dowolnie mieszali dźwięki i widzenia i z nich jak z pierwiastków budowali poczwarne wizje." Ba! Cóż za straszliwy zarzut. Tylko dlaczego właśnie skierowany do katastrofistów? Czemu nie do Edgara Poe, Baudelaire'a, Rimbauda, Lautreamonta, T. S. Elliota, Bretona, Apollinaire'a, Aragona, Supervielle'a — słowem do całej poezji na przestrzeni ostatnich stu lat? A może to wszystko też katastrofiści? Co w takim razie począć z historią literatury? Wziąć nożyce i wyciąć jej ostatnie rozdziały? Gdy jednak wróci się wstecz, znajdzie się również poetów, którzy „rozkładali proste obrazy, dowolnie mieszali dźwięki i widzenia i z nich jak z pierwiastków budowali poczwarne wizje". Co wtedy?

Likwidacja literatury przez wykreślanie całych epok jest niewdzięcznym zadaniem. Formy przeszłości mogą nam się nie podobać, ale w nich załamuje się historia. Może to być nieraz krzywe lustro. Każda jednak epoka ma takie lustro, na jakie ją stać. Może ktoś wzruszyć ramionami czytając tom wierszy, wydany przez nadrealistów z okazji procesu Violetty Noziere oskarżonej o otrucie ojca, który ją zgwałcił. Był to hymn na cześć Violetty i w ten sposób atak na moralność mieszczańską. Może ktoś oburzać się czytając „Jałową ziemię" T. S. Elliota, gdzie Londyn jest przedstawiony jako pustynia, po której wędrują podróżni na próżno szukający życiodajnej wody. Bo dlaczego nie powiedzieć prosto i wyraźnie o co chodzi, nie uciekając się do języka symbolów i przenośni? Wypowiem tutaj herezję: tam, gdzie jest pełna wiedza, poezja jest już niepotrzebna. Poezja trwa, dopóki jest awangardą wiedzy jakiejś epoki o sobie samej — z całą ceną ślepych prób.

Czesław Miłosz

W OCZACH PISARZY*)

Ankieta „Odrodzenia"

Redakcja „Odrodzenia" zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana(i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana(i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan(i) w sposób, jaki Pan(i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej, widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan(i) uzna za słuszny.

NAJWAŻNIEJSZA PRACA

Złym byłem prorokiem, twierdząc do ostatniej chwili, że Niemcy nie rozpętają wojny. Nie chciało mi się w głowie pomieścić, żeby naród, który nauczyliśmy się uważać za rozsądny, podejmował imprezę prowadzącą niewątpliwie w ostatecznym swym wyniku do klęski, jakiej świat nie widział. Później zrozumiałem fałszywy mój rachunek: mentalność niemiecka nie jest w stanie rozumieć mentalności innej. To co nie istnieje dla niej, nie istnieje w ogóle. Dlatego nie mogła przewidzieć, jak zareaguje świat. Inwazja na Polskę musiała wywołać wojnę z całym światem, a takiej wojny nie można wygrać. Pewnik, wynikający z prostego zestawienia potencjałów militarnych. Poza tą „matematyczną" pewnością, miałem wiarę w tak zwaną „sprawiedliwość historyczną". Nie sądzę, żeby ta wiara była natury mistycznej; sprawiedliwość historyczna uświadamia mi się raczej jako przyrodnicza, bio-fizyczna potrzeba równowagi.

Chociaż to nastawienie podtrzymywało mnie przez całe trwanie okropnej niewoli, to z drugiej strony pozbawiony byłem zupełnie błogosławionych pociech owego, co jakiś czas wybuchającego „optymizmu" co do czasu trwania wojny. Pomagał on ludziom do przetrzymania i nie oszalenia, choć się nierzadko opierał na bardzo dziecinnych argumentach. Ani bzdury puszczane przed wojną przez, zdawałoby się dobrze poinformowane, sfery oficjalne na temat niewyszkolonych rezerw niemieckich i braku oficerów, ani zjawiające się co raz pogłoski o wewnętrznym rozkładzie w armii, nie przekonywały mnie nigdy. Podczas tamtej wojny miałem sposobność przypatrzeć się z bliska niemieckiemu żołnierzowi i organizacji wojskowej. Pewny byłem, że wojna potrwa długo, że długo szaleć będzie i kąsać wściekły pies, rozjuszony i zaślepiony początkową bezkarnością, — zanim przyjdzie odpowiednia chwila do zadania mu ciosu. Bo ten cios nie może być wymierzony na oślep. Musi być nieomylnie śmiertelny.

Hitlera uważało pochopnie wielu jego wrogów za geniusza. Ja osobiście widziałem w nim szczęśliwego dyletanta, który mając horyzonty bardzo ciasne, gadał o wszystkim i o wszystkich, a znał się w istocie tylko na jednym: na duszy niemieckiej i na tym, do czego ona jest zdolna. Wiedział razem z Rosenbergiem, że można ją z powodzeniem wodzić za nos byle mistyfikacją socjalną wyczarowując niemożliwe biologicznie skrzyżowania, coś, jak to znane, rzekomo „curiosum przyrodnicze" japońskiego wyrobu, ryba o ludzkiej główce i rączkach. Wiedział razem z Goebbelsem, że byle dać dyspensę burżuazyjnej psychice szwabskiej od poczucia osobistej odpowiedzialności, a nie będzie łgarstwa, którego by nie łykała. Wiedział na koniec razem z Himmlerem, że Haarmanny, „upiory z Düsseldorfu" i jak się tam jeszcze nazywali, nie są w Niemczech wyjątkowymi okazami zbrodniczości, że każdy Niemiec jest w głębi „lustmörderem", trzeba mu tylko zdjąć hamulce. Hitler nie był geniuszem, nie był nawet wodzem. Był biczem bożym, ślepym narzędziem w ręku historii. Był jakimś „rattenfängerem z Hammeln", desygnowanym do wyprowadzenia niemieckich szczurów na zagładę. Był grabarzem mitu o niemieckiej kulturze, mitu, który pomimo naszej odwiecznej nienawiści do krzyżactwa, przyprawiał nas o nieuzasadniony kompleks niższości. Cywilizacja niemiecka, której tak chętnie przyznawano wyższość, zdemaskowała się jako kiepski werniks. O wyższości bowiem decydują pierwiastki moralne. Jeżeli jeszcze było coś, co by nam kazało zastanowić się bodaj nad bohaterstwem żołnierza niemieckiego, to od tego zastanowienia zwolnił nas ten sam żołnierz, który dla zademonstrowania wyższości kultury swego narodu spoliczkował uczonego polskiego w auli uniwersytetu.

Dziwna rzecz: makabryczne, biało-czarne flagi z naszytym „S. S.", przywodziły mi zawsze na pamięć mickiewiczowskie czterdzieści i cztery... Pogrzebowe flagi Germanii, odwiecznej zmory, ciążącej na całej Słowiańszczyźnie.

Ludzi świadomych całokształtu historycznego znaczenia tego najstraszliwszego kataklizmu dziejowego, niezdolnych do modlenia się o „szybki" koniec wojny, zawsze, o każdym czasie, nawet wówczas, kiedy potop germański zalewał całą Europę, — ale o taki koniec, który będzie końcem Niemiec, tych ludzi zmuszał prosty instynkt samozachowawczy, dla ratowania zdrowych zmysłów, do ucieczki od ciągłej myśli o rzeczywistości najbliższej: o przedłużaniu się w nieskończoność cierpień narodu, o mnożących się w miliony ofiarach, o mordowaniu ciał i zatruwaniu dusz. Od straszliwego koszmaru, jakiemu nie dorównuje żaden fakt w historii, jakiego nie wymyśliła żadna literacka fantazja, nie pomagało bronić się argumentami, że wszystko to jest niczym, bo tu nie jesteśmy ważni my, ani nasi najbliżsi, ani nasze cierpienie, ani nasze życie, — że tu chodzi o byt Ojczyzny, że tu chodzi o uzdrowienie świata całego. Więc się zaciskało zęby i brało pracę jakąkolwiek, byle zająć uwagę czym innym, czym wymagającym takiego zmęczenia władz umysłowych, że po skończonej pracy człowiek mógł już tylko spać...

Ponieważ każecie mi pisać o sobie, czego nigdy chętnie nie czynię, muszę wyznać, że ja, który byłem w szkołach w matematyce skończonym tumanem, którego upośledzenie w państwie cyfr szło tak daleko, że umiałem je pamiętać jedynie wzrokowo, byłem w czasie wojny — buchalterem. Pomagała mi w tym tylko wrodzona pasja do łamigłówek.

Praca twórcza? Nie byłem do niej zdolny. O rzeczach przeżywanych nie umiem pisać na gorąco. Tematy dalekie były mi wszystkie śmiesznie nieważne. Pamiętam długie rozmowy z anielsko cierpliwym i dobrym mym starszym przyjacielem, niezapomnianym Ludwikiem Pugetem. Zachęcał mnie nieustannie do pisania na temat zawsze mi najmilszy, Podhala i ludu podhalańskiego, z którym zrosło się moje dzieciństwo i młodość, który znam tak, jak znać można tylko najbliższy człowiekowi zakątek Ojczyzny. Za jego namową począłem istotnie robić notatki pamiętnikarskie. Z czasem, a to w łączności z aktualnym wówczas, niesławnej pamięci „goralenvolkiem", zamajaczyła mi koncepcja powieści opartej o własne doświadczenia psychologiczne i wydarzenia ostatnich czasów. Brakowało mi jednak nieznośnie biblioteki i źródeł dla pogłębienia mnóstwa problemów związanych z rozrastającym mi się tematem. Do Zakopanego, gdzie mieszkała moja matka, mogłem zaglądać tylko rzadko i na chwilę. Nie udzielono mi zezwolenia na pobyt. Byłbym tam pewnie zbyt częstym widokiem obrażał oczy panów Krzeptowskich i Szatkowskich. (Führer „goralenvolku" był przypadkowo właśnie tym, który mi na kilka lat przed wojną wręczał dyplom członka honorowego Związku Górali). Teoretyk „ruchu" ostrogockiego, zwany przed wojną „Dzidkiem", też nie miał powodu cieszyć się z mego widoku: byłem obecnie „ein verfluchter Pole".

Najbardziej uspołeczniony człowiek nie może się zaprzeć chwil, w których on sam i jego najbliżsi wydają mu się czymś najważniejszym. Chociaż więc czuję się człowiekiem uspołecznionym, przyznaję otwarcie, że kulminacyjnym punktem dla napiętych mych nerwów, okresem, kiedy po prostu bałem się panicznie, był krótki okres grożącej Krakowianom ewakuacji miasta. Bardzo nadwątlone zdrowie i niedołęstwo fizyczne jest rzeczą okropną, kiedy potrzebne są wszystkie siły ciała i ducha dla trzymania siebie na wodzy i podtrzymywania drugich. A przy tym, po niewysłowionym przygnębieniu okropnym losem Warszawy, ta nieustająca, rozpaczliwa modlitwa o ocalenie kochanego miasta!

Owe, po nieskończonych przygotowaniach niemieckich, śmiesznie krótkie zmagania, wypędzenie barbarzyńcy, wejście żołnierzy radzieckich, wreszcie pierwsze cudowne chwile niewiarygodnej prawdy, że kilkuletnia zmora skończyła się niemal w mgnieniu oka, — wszystko to pamiętam jak przez mgłę... W pierwszym dniu padania na Kraków pocisków widziałem zwłoki jedynego mego dziecka. Nie jestem już młody. Nie zdołałbym jeszcze obecnie rozpamiętywać nastroju owych dni...

Na literackim mym warsztacie leżą w tej chwili dwie rzeczy. Jedną jest powieść, o której już mówiłem. Pragnę w niej sprowadzić wreszcie do prawdziwych kształtów astygmatyczny obraz ludu, na który tak on sam jak i inni patrzyli dotychczas przez literackie soczewki tetmajerowskie. Na rzecz drugą złożą się materiały, które z technicznych względów nie dadzą się zużyć w powieści. Treścią jej będzie rola i wpływ psychiczny Zakopanego w życiu społecznym, politycznym i artystycznym Polski. Najważniejszą jednak pracą, która mnie czeka, jeżeli uda mi się odszukać rękopisy, będzie wykończenie i przygotowanie do wydania pracy ś. p. Ojca mego o poetach tatrzańskich.

Jan Gwalbert H. Pawlikowski

*) Por. odpowiedzi H. Boguszewskiej, J. Kornackiego, J. Kydryńskiego, H. Mortkowicz Olczak wej i E. Szelburg-Zarembiny w nr 19 i 20 „Odrodzenia".

W poprzednim (20) numerze „Odrodzenia" z dnia 15 kwietnia: **Edmund Osmańczyk:** Na pobojowisku. — **Leon Kruczkowski:** Mesjanizm odgrzewany. — **Zofia Nałkowska:** Węzły życia (8). — **Julian Krzyżanowski:** Nauka w Warszawie. — **Marcelina Grabowska:** Dlaczego wybuchło powstanie warszawskie? — **Janina Brzostowska:** Zwycięzł! — **Roman Palester:** Drogi muzyki polskiej. — **Mieczysław Wionczek:** Książka w więzieniu. — **Jan Kott:** Po prostu. Nie wystarczy groteska. — **Czesław Miłosz:** Bogactwo. — **Jacek Frühling:** Jeszcze „Przepióreczka". — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia": Odpowiedzi **Juliusza Kydryńskiego** i **Hanny Mortkowicz-Olczakowej.** — **Zofia Wielowieyska-Ratkowska:** Grafika książkowa. — Kronika. — **Adam Galiński:** Łódź moja. — List Romain Rollanda do Polaków — **Stanisław Dygat:** Mieszaniny. — Kalendarz kulturalny. — 8 stron. — 2 ilustracje.

Wystawa prac Zinowija Tołkaczewa

Nie ma chyba w sztuce zagadnienia trudniejszego niż sprawa zorganizowania i wyrażenia w sposób przekonywujący wielkości w którymkolwiek z jej objawów. Rzecz komplikuje się jeszcze bardziej, gdy chodzi o zorganizowanie doznań krzywdy, cierpienia, poniżenia. Nawet pojedyncze, jednostkowe cierpienie zawiera w sobie cechy znoszące jego zjawiskową wymierność i podnoszące je w hierarchii przeżyć do rangi wyższej. Już wówczas przed artystą usiłującym nadać mu trwały kształt sztuki staje problem formy organicznej. Wszędzie, gdzie chodzić będzie o wyrażenie obiektywnej prawdy humanistycznej, musi rozpocząć się kryzys formalny. Objawem nieprzezwyciężenia kryzysu będzie ucieczka do eksperymentu i czystych poszukiwań w literaturze i malarstwie. A cóż powiedzieć o artystycznym organizowaniu wielkości? I wielkości cierpienia właśnie. Sztuka nowoczesna pokazała nam na przestrzeni lat kilkunastu sposoby omijania tematyki wielkiej. Nie świadczy to przeciwko niej, gdyż idąc drogami własnymi potrafiła stworzyć wartości nieprzemijające. Lecz czyż daje to jej prawo do przymierzania swoich kryteriów do dzieł takich ludzi, którzy byli śmielsi o odwagę pokuszenia się nazwania wzruszeń tak powszechnych, że prawie nie istniejących w pojedynczej świadomości? Szczególnie teraz, gdy przeżywamy okres wielkich (słowa są małe i stąd razi patos) cierpień, klęsk i równie wielkich zwycięstw, zagadnienie formy w sztuce będzie pierwszym i jedynym. Czy w literaturze troska o oryginalność i zasada eliminacji efektów będą troską najważniejszą i zasadą główną? Czy w malarstwie rozmieszczenie plam światła będzie kategorią decydującą? Może na oba pytania przyszłość da odpowiedź twierdzącą. Może sztuka nowoczesna zmuszona przez rzeczywistość, swoje własne drogi poszerzy i wytyczy je w stronę tematyki wielkiej.

Wystawa prac Zinowija Tołkaczewa („Majdanek", i „Kwiaty Oświęcimia" w Sukiennicach) jest wydarzeniem właśnie ze względu na perspektywy rozwojowe nowoczesnej sztuki w Polsce. Sygnalizuje ona, że przyszłość rozpoczyna się już teraz i pośpiech w przezwyciężaniu kryzysu formalnego jest celowy. Wystawa zmusza nas **już** do doznawania tematyki wielkiej wyrażonej w sztuce. Gdy oglądamy prace rosyjskiego malarza, temat sprawia, iż kryteria formalne tracą swą moc wiążącą percepcję i reagujemy (względnie nie reagujemy) tak lub inaczej, lecz zawsze na organiczność kompozycji. Ponadto prace Tołkaczewa sugerują widzowi pewien styl, który mimo licznych deformacji kompozycyjnych umieszcza utwory w gatunku znanym jako realizm. Realizm jest metodą najmniejszych omyłek. Od wszystkich tworzących zależy, by nie stał się on jednak nieporozumieniem. Wystawa prac Z. Tołkaczewa również z tego punktu widzenia jest wydarzeniem drogę wskazującym.

Tematyka wielka przedstawiona realistycznie zawiera w sobie poważne niebezpieczeństwo artystyczne. Zmusza do uproszczeń i skrótów. I to nie tylko w malarstwie. Uproszczenia te wywołują doznania. Lecz nie przekonywują i nie organizują przeżycia. Malarz rosyjski nie ominął tego niebezpieczeństwa. W pracach takich jak „Cyklon B", „Podarunek dla rodziny", „SS", „Trzech Niemców", „Bezimienny", czy nawet „Na Majdanku" uderza brak wstrzemięźliwości do tematu. Stosunek autora do przedstawianej grozy uzewnętrznia się natychmiast, pośpiesznie. Śmierć w czapce gestapowca, postać więźnia w pasiakach jako upostaciowanie tragedii. Widzowi artysta nie zostawia czasu na indywidualne doznanie. Wymienione prace mają z tego względu wartość plakatu, którego oddziaływanie jest szybkie, łatwe lecz niedługo trwałe. Jeszcze za życia wydłużone śmiertelnie postacie trzech kobiet („Na Majdanku") trwałyby w doznaniu widza dłużej, gdyby u stóp ich nie leżały czaszki i piszczele.

Tematyka wielka zagraża malarzowi swoją „literaturą". Wydaje się, że takie kompozycje jak „Dozorczyni", „Szacunek dla kobiety", a szczególnie „Prąd wysokiego napięcia" są z założenie aplastyczne. Mogą być opowiedziane, a wartościami malarskimi opowiadać się chyba nie powinno. Gdzie indziej dostrzega się nieprzezwyciężony sentymentalizm („Krępicki las" np.).

Jeśli te braki wskazują nieporozumienie, ku jakiemu ciąży każdy realizm, to takie kompozycje jak „Apel", „Matki", „Komora gazowa A" i (szczególnie) „Wóz śmierci" można uznać za osiągnięcia wskazujące drogę do jego odnowy. Kompozycje te, różniące się między sobą, pozostawiają jednolicie niezatarty (oglądaniem czego innego lub myśleniem o czym innym) ślad wzruszenia. Cierpienie ludzkie, **wielkie** cierpienie jest ukazane wstrzemięźliwie (artysta nie narzuca swojego stosunku) i przedłuża swoje trwanie o współodczuwanie widza. „Apel" — kompozycja prosta: szereg ludzi-widm (może postacie esesowców niepotrzebne), którzy w chwili patrzenia na nich tracą nie tylko rysy indywidualne, lecz nawet twarze. Widać, jak umierają stojąc. „Komora gazowa A" — dwie twarze kobiece nie przerysowane, w cierpieniu autentyczne. Lecz szczególnie „Wóz śmierci". Jest to moim zdaniem najpiękniejsza i najprawdziwsza kompozycja wystawy. Zinowij Tołkaczew w utworze tym utrwalił prostymi środkami rysunku prawdę o cierpieniu człowieka w sposób równie silny jak anonimowy artysta — namiętności ludzkie w płaskorzeźbie Sądu Ostatecznego, na portalu katedry w Amiens.

Wielkość prócz innych swoich cech tę posiada, że nie przez wszystkich jest dostrzegana. Jej wizja artystyczna może ją oddalić, zniekształcić lub — i to najważniejsze — zbliżyć, gdyż doznawanie jej rzeczywistości zależy od postawy moralnej doznającego człowieka.

Zinowij Tołkaczew: „Matki"

Na dokumentarnej wystawie (również w Sukiennicach) zbrodni niemieckich popełnionych na Majdanku, między innymi znajduje się zdjęcie przedstawiające zagranicznych dziennikarzy, którzy oglądają stosy obuwia (ponad 800 000 par) po zamordowanych. Twarze niektórych dziennikarzy idących po stosie (którego pomyślenie jest bolesne) są uśmiechnięte lub nawet roześmiane.

Można z całą pewnością stwierdzić, że cudzoziemcy ci po obejrzeniu prac Zinowija Tołkaczewa zbliżyliby się do wielkości cierpienia na tyle, że umieliby doznawać jego rzeczywistość. I w tym jest sukces rosyjskiego artysty.

Zbigniew Bieńkowski

Zinowij Tołkaczew: „Na Majdanku"

Mieszaniny

Słońce świeci, wietrzyk przynosi zapach wiosny z łąk i pól, czułe pary przymilają się do siebie i robią niemądre miny na plantach, Niemcy dostają w skórę na wszystkich frontach, literaci zaczynają brać się za łby, kobiety są uśmiechnięte i zakwitają wraz z kwiatami, pojawiają się fiołki i motyle, nocą niebo jest przyjazne i ciepłe, a nad ranem ptaszki świergocą pod naszymi oknami.

Znikają zewsząd ślady ciemnej i złowrogiej zimy. „Wszystko w porządku, dobry Boże!" — jak powiada Tennyson.

Niestety! Tak to wszystko widzą naiwni realiści, ale my nie chcemy spłycać, przeciwnie (może również na skutek wiosny), jesteśmy ogarnięci młodzieńczym zapałem, by pogłębiać, wywracać podszewki i oglądać różne strony medalu i dlatego nie zadowolimy się złudnym pozorem, że tak miło jest na plantach, na frontach, w naturze, w kosmosie i pod naszymi oknami.

Niestety! Nie wszystkie ślady ciemnej i złowrogiej zimy zniknęły z ulic krakowskich. „Nie wszystko jest w porządku, dobry Boże!" jakby powiedział Tennyson, gdyby przeszedł się pod Sukiennicami, po tandecie i innych ośrodkach „pasku" i wyzysku w Krakowie. Leżą tam jeszcze grube zwały brudnego śniegu i lepkiego błota, pozostałości po ciemnej i złowrogiej nocy i jakoś nikt się nie kwapi, by je uprzątnąć i precz odrzucić.

Błoto paskarstwa, wyzysku i spekulacji bezczelnie rozwala się po ulicach i przeszkadza nam cieszyć się wiosną. Bądźmy sprawiedliwi i nie spłycajmy! Nie oskarżajmy bezpośrednio tych, których widzimy przy koszykach z towarem, jak częstokroć za lichym zarobkiem, stoją cały dzień. Wielu z nich to jak my, ofiary szabrowników i wyzyskiwaczy. Dopiero zza ich pleców majaczą nieuchwytne, obmierzłe gęby hien i szakali, nieprawdopodobnych tworów wojny i niemieckiego „ładu" na podbitych ziemiach.

Znamy ich dobrze. Kręcą się często pośród nas, wykwintni, „z towarzystwa", z dyplomami i wyższym wykształceniem, podają damom futra, przepuszczają nas pierwszych przez drzwi, prowadzą wzniosłe rozmowy o kulturze zachodnio-europejskiej i konieczności reform społecznych.

We wrześniu 1939 roku, siedzieli głęboko zaszyci w piwnicach, drżąc ze strachu, a przy gwałtowniejszych nalotach padali nawet na kolana, zbielałymi usty błagając Stwórcę o miłosierdzie, obiecując w zamian nigdy więcej nie grzeszyć. Ale kiedy umilkły strzały i eksplozje, kiedy wygrzebali się ze swoich schronów i rozejrzeli po świecie zorganizowanym na zasadzie swastyki, stwierdzili, że nie jest tak bardzo źle i Stwórca nie będzie na tyle małostkowym, by brał za złe różne drobne grzeszki. Znamy to wszystko dobrze. Szał interesów. Rozkosz łatwych, błyskawicznych a krociowych zarobków. Równolegle z tym, zawrotnie rozwijająca się chciwość, demoniczny i fanatyczny kult pieniądza, zanik wszelkich skrupułów ludzkich i narodowych, doszczętne zbydlęcenie, zbydlęcenie w najwykwintniejszych strojach, złotych zegarkach, brylantach, bransoletach, pośród wnętrz mieszkalnych, pełnych cywilizowanych zdobyczy XX wieku, pośród dywanów, makat i dzieł sztuki. Znamy pijatyki z Niemcami, znamy przetrzymywanie najpotrzebniejszych społeczeństwu towarów aż „dojrzeje cena", znamy tajemnicze znikanie towaru z rynku w chwilach krytycznych dla naszego narodu. Znamy również szaber warszawski i nie warszawski. Ci sami, w niepohamowanej i niczym nie dającej się już wstrzymać żądzy zysku i bogacenia się, są jego bohaterami. Gdy zbrakło im „terenu" w rodzinnych okolicach, łypnęli okiem ku zachodowi i ruszyli tam ze swoją „misją dziejową". Edmund Osmańczyk, szlachetny i nieugięty bojownik polskości Śląska Opolskiego, opowiadał o koszmarnych występach tych „pionierów" szabru. Siedzą już pod kluczem. Ale kto Opolanom wynagrodzi takie zetknięcie po 700 latach z braćmi zza kordonu?

Jest czas najwyższy, ażeby szabrownikami i paskarzami zajęły się sądy specjalne w sposób równie stanowczy i bezwzględny jak zdrajcami narodu, którym ci pierwsi w niczym nie ustępują.

Nadeszła wiosna, chcemy się nią radować i chcemy wreszcie oddychać świeżym powietrzem.

Stanisław Dygat

PRZEGLĄD MUZYCZNY

Życie muzyczne ostatnich trzech miesięcy jest pod znakiem regeneracji i reorganizacji. Muzycy polscy zrozumieli, że muzyka może się stać potężną dźwignią w podniesieniu poziomu kulturalnego szerokich warstw narodu. Stanęli więc do pracy z wiarą i zapałem, że teraz będą mogli urzeczywistnić to wszystko, co dotąd leżało w sferze pragnień: kulturę muzyczną dla mas, opiekę nad twórczością muzyczną (zwłaszcza nad młodymi talentami, które do tej pory nie tylko nie znajdowały należytego poparcia, ale przeciwnie zatracały się w ciężkiej walce o chleb powszedni) oraz zdrowe podstawy wykształcenia zawodowego.

Te trzy postulaty zadecydowały o tym, co dotąd zrobiono i co zamierza się zrobić w nowej Polsce w dziedzinie muzyki. Lublin, Kraków, Łódź, Katowice, a ostatnio Poznań i Gdańsk biorą udział w tej pracy. Przoduje Kraków, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności zjednoczył w obecnej chwili największą ilość najwybitniejszych muzyków polskich, tak kompozytorów, jak wykonawców i pedagogów.

Kraków, miasto o dawnych tradycjach artystycznych, wydaje się być godne tego, by stać się ośrodkiem życia umysłowego i artystycznego. I wydaje się, że na terenie muzycznym proces ten już się rozpoczął. Bo choć Lublin wyprzedził Kraków w niejednym pociągnięciu organizacyjnym, a Łódź zdołała już urzeczywistnić pewne plany, które w Krakowie nie przybrały jeszcze realnych kształtów, to jednak właśnie w Krakowie przemyślane zostały podstawy nowej organizacji życia muzycznego wszechstronnie i w zasięgu tak szerokim, że prawdopodobnie staną się w przyszłości wzorem dla innych miast.

Pierwszą placówką, dokoła której skupiło się życie organizacyjne Krakowa, jest **Związek Zawodowy Muzyków.** Przeprowadził on rejestrację członków czynnych i kandydatów i wyłonił Zarząd Tymczasowy, który organizuje w Związku szereg sekcji (wykonawców i dyrygentów, teoretyków i krytyków, pedagogów i muzyki lekkiej).

Sekcja kompozytorów została wyodrębniona jako **Związek Kompozytorów Polskich,** którego oddziały tak samo zresztą jak i oddziały Zawodowego Związku Muzyków, tworzą się w innych miastach. Krakowski Związek Zawodowy Muzyków współpracuje z Wojewódzkim Wydziałem Kultury i Sztuki w kierowaniu spraw muzycznych. Z jego inicjatywy powstało **Państwowe Wydawnictwo Muzyczne** z tymczasową siedzibą w Krakowie, oraz **Biuro Koncertowe** przy Związku, które urządza wszelkiego rodzaju imprezy muzyczne, recitale, koncerty kameralne, odczyty itp. Biuro to spełnia funkcje dawnych prywatnych impresariów koncertowych; głównym jego zadaniem jest oprzeć ruch koncertowy na zdrowych podstawach społecznych i upowszechnić koncerty w całym kraju. Podobne biura powstały już na terenie Katowic i Poznania. Jednym z najważniejszych zadań Związku były prace **Komisji Weryfikacyjnej,** które miały na celu zbadanie stosunku i zachowania się muzyków polskich wobec okupanta. Prace komisji dobiegają końca. Konsekwencją ich jest zawieszenie w prawach członkowskich solistów i członków dawnej Filharmonii GG i rozwiązanie tego zespołu, oraz powołanie do życia na jego miejsce **Państwowej Orkiestry Symfonicznej.** Na jej czele stanął dyr. Z. Latoszewski, który przygotował uroczysty koncert inauguracyjny. Stworzenie państwowej orkiestry jest faktem dużej doniosłości. Jest bez precedensu nie tylko w Krakowie ale i w całej Polsce i pokazuje, że państwo występuje u nas po raz pierwszy jako protektor kultury muzycznej która w tym stanie rzeczy uzyskać zdoła niechybnie zasięg o wiele szerszy, niż to było możliwe dawniej przy istnieniu dorywczych tylko, prywatnych zespołów muzycznych.

Zupełna reorganizacja stała się też naczelnym hasłem w dziedzinie **szkolnictwa muzycznego. W** miejsce dawnych szkół muzycznych, z których każda obejmowała wszystkie stopnie nauczania od elementarnych począwszy aż do kursu koncertowego, powstają teraz **szkoły państwowe** o trzech ściśle rozgraniczonych typach: szkoły niższe (dla dzieci), szkoły średnie (instytuty pomyślane jako szkoły dla zawodowców — w przyszłości gimnazja muzyczne) i szkoły wyższe (państwowe konserwatoria muzyczne). W Lublinie funkcjonuje już Instytut Muzyczny, w Łodzi i Katowicach Konserwatoria Państwowe, w Krakowie otwiera się w najbliższym czasie Państwowe Konserwatorium wraz ze szkołą niższą dla dzieci szczególnie uzdolnionych muzycznie. Instytut Państwowy jako szkołę średnią, oraz Państwową Szkołę Niższą z programami zapewniającymi nie tylko gruntowne wykształcenie specjalne, ale także ogólno-muzyczne, tak praktyczne, jak i teoretyczne. Przewidziane jest też powołanie do życia w najbliższym czasie podobnych instytucyj w Poznaniu i Gdańsku.

Stefania Łobaczewska

Kalendarz kulturalny

Warszawa. Prócz nagrodzonych ostatnio przez Ministerstwo Kultury i Sztuki siedmiu pisarzy (A. Górski, Boy-Żeleński, J. Wiktor, J. Przyboś, Cz. Miłosz, L. Eminowicz, E. Osmańczyk i S. Nędza-Kubiniec), nagrody otrzymali jeszcze: P. Hulka-Laskowski (za dotychczasową działalność literacką), Wł. Kowalski (za twórczość powieściową), St. Rembek (za powieść pt. „W polu") i P. Kubisz (za tom wierszy pt. „Przednówek").

Władze wojskowe nadesłały do Ministerstwa Oświaty meldunek o znalezieniu w miejscowości Geerbitsch w okolicy Frankfurtu nad Odrą około 6 wagonów książek, stanowiących własność publicznych bibliotek warszawskich. Książki zabezpieczono. Wydział bibliotek Ministerstwa Oświaty organizuje ekspedycję rewindykacyjną, która wyruszyć ma do Geerbitsch w bieżącym miesiącu.

Również w Pruszkowie, w jednym z baraków dawnego obozu, znaleziono duże ilości książek, stanowiących własność Biblioteki Publicznej, Narodowej i Uniwersyteckiej w Warszawie. Książki te wywieźli Niemcy ze stolicy w czasie powstania. Stan druków dobry. Akcja rewindykacyjna trwała około 2 tygodni.

Wydział Architektury Zabytkowej Biura Odbudowy Stolicy odnalazł na terenie zakładów Lilpopa cmentarz warszawskich pomników: część posągu Mickiewicza, statuę z pomnika Sapera, pomnik Lotnika, pomnik ks. Józefa (brak kilku części) i całą postać pomnika Bogusławskiego.

Stowarzyszenie Architektów R. P. zwróciło się do Prezesa Rady Ministrów z wnioskiem o stworzenie Mauzoleum Narodowego na Majdanku i ogłoszenie nań konkursu. Rada Ministrów wniosek uchwaliła.

Stowarzyszenie Architektów Rzeczypospolitej Polskiej (SARP) wznowiło swą działalność w listopadzie 1944 r. w Lublinie. Pierwszym prezesem w odrodzonej Polsce był prof. Lech Niemojewski. SARP bierze czynny udział w odbudowie Warszawy. Skład obecnego zarządu SARP: Roman Miller (prezes), St. Albrecht, J. Bielaszewski, L. Niemojewski, A. Piotrowska, T. Puławski, Z. Skibniewski, G. Trzciński.

W Krakowie 15 kwietnia Minister Kultury i Sztuki, Wincenty Rzymowski, dokonał uroczystego otwarcia wystawy pośmiertnej artystów plastyków, zamordowanych przez Niemców w czasie okupacji. Otwarcie wystawy zbiegło się ze smutną rocznicą obławy przeprowadzonej przez gestapo na terenie Kawiarni Plastyków w r. 1942.

Na zebraniu Polskiego Towarzystwa Historycznego w Krakowie prof. Józef Feldman wygłosił odczyt o reformie studiów historycznych, w którym stwierdził, że reforma studiów uniwersyteckich z r. 1925 nie odpowiadała potrzebom w zakresie nauczania historii i obniżyła poziom absolwentów, którzy zwłaszcza jako nauczyciele historii w szkołach średnich nie mogli podołać zadaniom. Referent podkreślił konieczność reformy nowej, która by rozszerzyła zakres wymagany do egzaminów końcowych, zmniejszyła nacisk kładziony na historię polityczną, a zwróciła uwagę w szerszej mierze na dzieje społeczne, gospodarcze i ustrojowe, oraz głębiej potraktowała zagadnienia najnowsze i współczesne.

Komisja artystyczna organizującego się w Krakowie Teatru Powszechnego ustaliła swe założenia programowe. Teatr Powszechny jest teatrem szerokich mas; obejmie on swą działalnością peryferie Krakowa, województwo krakowskie i garnizony wojskowe; celem teatru jest upowszechnienie kultury teatralnej oraz propaganda aktualnej problematyki społecznej.

W Krakowie organizuje się politechnika. Zgłosiło się dotąd około 2500 kandydatów.

Teatr Lalki i Aktora „Groteska" powstał w Krakowie, przy ul. Skarbowej 2. Kierownikiem artystycznym teatru jest Władysław Jarema, strona plastyczna znajduje się w rękach Andrzeja Stopki. Projekty lalek są dziełem Zofii Jaremy, a dział techniczny powierzono Jerzemu Szeskiemu. Teksty przygotowuje A. M. Swinarski. Repertuar przewiduje szereg oryginalnych inscenizacji. W najbliższym czasie wystawiona będzie opera buffo Pergolesego „La Serva Padrona" i widowisko „Cyrk Tarabumba". W przyszłości zamierzone jest wystawienie w oryginalnej i pomysłowej formie — „Odyssei" Homera, sztuki „Noe" Aubey'a oraz „Don Kichota" i „Gulliwera". Próby do pierwszej premiery są w pełnym toku.

W Lublinie staraniem Referatu Kultury i Sztuki przy Centralnym Komitecie Żydowskim odbyła się uroczysta akademia w 30-letnią rocznicę śmierci wybitnego pisarza żydowskiego, Peretza, który odegrał wielką rolę w życiu kulturalnym swego narodu.

Statut organizacyjny naczelnej dyrekcji muzeów i ochrony zabytków przy Ministerstwie Kultury i Sztuki ustala jej podział na: 1. wydział muzeów i pomników martyrologii polskiej, 2. wydział muzeów, 3. wydział ochrony zabytków, 4. wydział rewindykacji i odszkodowań w dziedzinie kultury, 5 państwowy instytut historii sztuki i inwentaryzacji zabytków. Zadaniem pierwszego wydziału jest oddanie w formie muzeów i pomników czci bojownikom o wolność i ofiarom terroru niemieckiego. Drugi wydział ma za cel reorganizację sieci muzeów na terenie całego kraju. Muzea nie mają być martwymi składnicami dzieł sztuki i pamiątek, lecz żywym ośrodkiem pracy naukowo-badawczej oraz oświatowej. W dziedzinie opieki nad zabytkami wysuwa się na plan pierwszy sprawa zabezpieczenia i rekonstrukcji zabytkowych budowli stolicy. Konserwatorowi generalnemu podlegają cztery państwowe pracownie konserwatorskie: architektury, malarstwa, rzeźby i sztuki zdobniczej. Wydział rewindykacji i odszkodowań przygotowuje materiały, obrazujące straty poniesione zarówno wskutek działań wojennych, jak i celowej akcji niszczycielskiej Niemców, oraz przygotowuje wnioski w tych sprawach. Państwowy instytut historii sztuki i inwentaryzacji zabytków gromadzi materiały dokumentarne do dziejów sztuki w Polsce oraz prowadzi inwentaryzację terenową w najszerszym znaczeniu.

Redaktor: Karol Kuryluk. — Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12. — Adres administracji: Wielopole 1, tel. 185-60-62. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.
Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".
M — 00927